

VariArt

pismo kulturalno-literackie



NR 01-02/2024 (62-63)



ISSN 2080-1483

STANISŁAW CZACHOROWSKI

Czy człowiek jest robakiem w jabłku?

Owoc, symbol dojrzałości i obfitości, stanowi zwieńczenie cyklu życia rośliny. Pośród kwiatów i liści, niczym drogocenny skarb, kryje w sobie nasiono – obietnicę nowego pokolenia. Ale jak roślina, pozbawiona nóg i skrzydeł, może zapewnić mu podróż ku przyszłości? Warto dodać, że nie wszystkie rośliny wydają owoce, tak jak nie wszystkie działania ludzi wydają dobry owoc.

U roślin są przystosowania do roznoszenia nasion przez wiatr i wodę. A gdyby tak zatrudnić zwierzęta? Jaką dać im zapłatę, by skłonić do tej ciężkiej pracy? Do przenoszenia pyłku z kwiatu na kwiat rośliny zachęcają słodkim nektarem. A co z nasionami? W tym właśnie miejscu na scenie pojawiają się zwierzęta. Rośliny, niczym sprytni przedsiębiorcy, oferują im słodki nektar w zamian za zapylenie. A co z nasionami? Jak uchronić je przed głodnymi zwierzętami, a jednocześnie zapewnić im podróż w nieznane? Oto i rozwiązanie: słodki owoc.

Weźmy przykład jemioli, której lepkie owoce przyczepiają się do dziobów ptaków. Zjadając owoc, ptak staje się mimowolnym roznosicielem nasion, które następnie – podczas czyszczenia dzioba – lądują na gałęziach drzew, dając początek nowym jemiolom.

Ludzie, choć nie są typowymi owocożercami, wiele zawdzięczają owocom. Ewolucja wyposażała nas w przestrzenne widzenie i zręczne dłonie, idealne do zrywania i manipulowania owocami. Smakowite owoce kuszą nas do skosztowania, a my, niczym posłuszne owce, zjadamy je ze smakiem.

Co jednak dzieje się z nasionami? Te zazwyczaj są małe i twarde, a my po prostu je wypluwamy. Niektóre zwierzęta, niczym kurierzy, roznoszą je w swoim przewodzie pokarmowym, zostawiając je w różnych zakątkach świata, daleko od macierzystego drzewa.

Istnieją również owady, jak osy żyjące w kwiatach i owocach fig, które poświęcają całe swoje życie temu jednemu wyjątkowemu miejscu. Tam żyją, rozmnażają się i rodzą kolejne pokolenia. Bez tych os figa nie wydałaby owoców, a ich symbioza staje się przykładem wzajemnej zależności i współpracy w świecie natury. Te osy to szkodliwe pasożyty czy dobroczynny symbiont? To tylko kwestia kontekstu. Czasem w jabłku czy śliwce spotykamy nieproszonego gościa – robaka. Pożywia się on soczystym miąższem, nie biorąc udziału w rozsiewaniu nasion. Dla nas jest to intruz, psujący smak owocu. Ale czy aby na pewno? A może właśnie ten robak, tocząc jabłko lub śliwkę, sprawia, że z obrzydzeniem odrzucamy je, nie zjadając.

W ten sposób nasiona, zamiast trafić do naszego żołądka, lądują na ziemi, dając początek nowym drzewom. Niby szkodnik, a jednak pożyteczny!

Owoc staje się miejscem życia, niczym figa dla os. Holobiont, czyli organizm złożony z gospodarza i wszystkich organizmów z nim współżyjących, czy noosfera – sfera ludzkiej myśli, wpływającą na biosferę – te pojęcia przywodzą na myśl głębsze refleksje. Czy ludzie są dla Ziemi niczym robak toczący owoc? Niszcząc i dewastując przyrodę, czy też, niczym pionierzy kosmiczni, zabiorą ze sobą „nasiona” życia i „nasiona biosfery” na inne planety? Wszystko ze sobą jest powiązane, stąd pojęcie holobiontu i noosfery, opisujące nasz świat.

Czas pokaże, jaką rolę odegramy w tej kosmicznej wspólnotce. Jedno jest pewne: człowiek i natura są ze sobą ściśle powiązani, a owoc staje się symbolem tej fascynującej i złożonej relacji. Być może nie jesteśmy tylko robakami w jabłku, ale częścią większego planu rozsiewania życia w kosmosie. ■



Rys. Karolina Lewandowska

02 KIJ W MROWISKO

STANISŁAW CZACHOROWSKI: Czy człowiek jest robakiem w jabłku?

04 WYWIAD

Z PIOTREM PANCEREM rozmawia KAROLINA ROGÓZ-NAMIOTKO
Owocowy koktajl kulturalny

06 PROZA

ZDZISŁAW LOMPERTA

08 POEZJA

BAI JUYI: Wiersze

09 POEZJA

PIOTR SZEWC: Zaimaszki tożsamościowe

10 LITERATURA

AGATA GRZEGORCZYK-WOSIEK: Zanim zaowocują

12 LITERATURA

BOŻENA KRACZKOWSKA: Miniatury prozatorskie i wiersze

14 DEBIUT

ALICJA ŻELNIA: Rozkład (pokochają, kiedy umrę)

15 W SAMYM ŚRODKU — GALERIA VARIARTA

JOANNA ROSTAŃSKA

16 GALERIA

JOANNA ROSTAŃSKA: O owocach...

18 KRÓTKA FORMA

ANNA RAU I IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK:

Legendy miejskie — Owocowe ulice

20 INICJATYWA

KATARZYNA GUZEWICZ: Literackie jabłko.
O „Papierówce” Miejskiego Ośrodka Kultury

22 SZTUKA

JOWITA JAGŁA: Jabłko przeciwko gorczycy...

24 HISTORIA

EWA ZDROJKOWSKA: Zachować w pamięci

27 REGION

KAROLINA ROGÓZ-NAMIOTKO: Po owocach ją poznać

28 REGION

ANITA ROMULEWICZ: Owocowe dziedzictwo

30 SZTUKA

JOANNA NAWOTKA: Dżem z Elektronów

Dojrzałe, smaczne, soczyste, aromatyczne, dorodne jabłka, gruszki i śliwki — chętnie wyciągamy po nie rękę. Nawet, gdy nie są w naszym ogródku — kuszą. I tu zaczyna się historia ludzkości — od owocu.

Dzieła naszych rąk, umysłu — nasze owoce — literatura, muzyka, sztuki plastyczne.

Z literackiego drzewa variartowego zebraliśmy utwory m.in. Piotra Szewca, Zdzisława Lomperta, Bożeny Kraczkowskiej. Odmiany jabłek w kulturze regionu zaprezentowały Katarzyna Guzewicz, Anita Romulewicz i Jowita Jagła. Wielosmakowe mieszanki przygotowały Joanna Rostańska, Karolina Rogóż-Namiołtko i Joanna Nawotka.

Zapraszamy do Owocowego Raju, w którym na naszych Czytelników czeka prawdziwy urodzaj tematów i możliwość spotkania się z autorami opublikowanych tekstów!

Redakcja z robaczkiem

VariArt



VariArt. Pismo kulturalno-literackie. ISSN 2080-1483
Nr 01-02/2024 (62-63)

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie

10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI

www.aresztsztuki.wixsite.com/olsztynart; e-mail: aresztsztuki@gmail.com

Zespół redakcyjny:

Iwona Bolińska-Walendzik, Joanna Dziekiewicz, Agnieszka Klisz,

Urszula Maciąg, Anna Rau, Anita Romulewicz, Karolina Rogóż-Namiołtko

e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Pierwsza strona okładki: Nikola Szajnóg, skład: Iwona Bolińska-Walendzik

Czwarta strona okładki: Nikola Szajnóg (Pracownia Starych Technik Drukarskich)

Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski; Olsztyn

Z PIOTREM PANCEREM rozmawia KAROLINA ROGÓZ-NAMIOTKO

OWOCOWY KOKTAJL KULTURALNY

Suski Ośrodek Kultury, czyli SOK, swoją kampanię promocyjną oparł na skojarzeniu z orzeźwiającym i witalnym napojem. Sama nazwa miejscowości – Susz – prowadzi na myśl ciepłe skojarzenia z naparem z suszonych owoców, który podaje się w czasie świąt Bożego Narodzenia. Czy kultura może być owocowa i kolorowa, jak reklamy soków z początku XXI wieku? Okazuje się, że tak i mimo pewnych wątpliwości, które pojawiły się na początku tej kampanii, skojarzenia były zbyt oczywiste. Strategia promocyjna zbudowała markę opartą na bardzo mocnych i konkretnych kulturalnych fundamentach.

Z Piotrem Pancerem, Dyrektorem Suskiego Ośrodka Kultury, rozmawia Karolina Rogóz-Namiołtko

Gdy miałam do czynienia po raz pierwszy z waszym ośrodkiem kultury, to „SOK” wydał mi się tak oczywisty, że trudno byłoby to ograć inaczej. Jednocześnie prosty, ale zarazem błyskotliwy w przekazie. Jak wpadliście na pomysł tej kampanii?

Gdy dołączyłem do Suskiego Ośrodka Kultury, wiedziałem, że będzie nam potrzebna konkretna strategia promocyjna. To nie będzie zwykłe odświeżenie logo. Potrzebny nam będzie prawdziwy lejtmotyw, który sprawi, że będziemy kojarzeni z: konkretnym logo, konkretną grafiką, konkretnym hasłem przewodnim. Udało się, bo do współpracy zaprosiłem Mateusza Obarka i Macieja Rytczaka, najlepszych w branży, i to był bardzo dobry kierunek. Najbardziej spodobało mi się, że można to ubrać w witalność, świeżość. Takie postrzeganie świata poprzez pryzmat koloru, lekkiego szaleństwa. Kultura nie musi być nudna i skostniała, ale może być i jest szalenie energetyczna.

I tak powstało hasło „SOK – posmakuj emocji”?

Tak, bo to krótkie hasło zawiera w sobie przekaz, z którym chcieliśmy dotrzeć do mieszkańców Susza, ale nie tylko ich – z naszą ofertą kulturalną docieramy do ludzi

z całej Polski. Nasze wydarzenia są jak owoce, które można dowolnie łączyć i miksować, i dla każdego jest to inny koktajl kulturalny. Mamy owoce egzotyczne, ale też przedstawicieli regionu. Każdy znajdzie coś dla siebie. Naszym zadaniem, jako instytucji kultury, jest też zachęcanie ludzi do smakowania takich owoców, których nie zna ich podniebienie. Lubimy miksować je na różne sposoby. I tak oto wkroczyliśmy w świat owoców i jest nam z nimi naprawdę dobrze.

Wasz flagowy produkt to Blender Art Festival, który dzięki bogatemu lineupowi przyciąga ludzi z całej Polski. Pięknie zresztą wkomponowuje się w linię waszej strategii.

Chcieliśmy stworzyć coś naprawdę dobrego. Festiwal, który nie będzie niczym ograniczony, który promocyjnie będzie wybiegać poza nasze województwo, o zasięgu międzynarodowym. Ale żeby być wiernym naszej strategii i wpisać się w kampanię nawiązującą do soku, postanowiliśmy to wszystko zblendować i tak powstał Blender Art Festival. W tym roku to będzie już trzecia odsłona. Do naszej małej, 5-tysięcznej miejscowości zapraszamy artystów, którzy do tej pory nie gościli w Polsce, ale tam skąd pochodzą, mają już dosyć dużą renomę. W 2022 roku gościliśmy zespół LAİS z największym hitem wszechczasów „Belgijka”. Pojawiliśmy się wtedy z tą wiadomością w TVN, więc to nas umocniło w przekonaniu, że marketingowo i promocyjnie dajemy radę.

Często kultura jest postrzegana jako coś trudnego do zrozumienia, nierzadko ciężkostrawnego. Czy strategia lekkości, witalności sprzyja temu, że wasza oferta jest przez to bardziej atrakcyjna dla przeciętnego odbiorcy?

Idąc tym naszym owocowym tropem mogę powiedzieć tak... Nadal są takie owoce na świecie, których nie spróbowałem. Znamy świetnie smak jabłka, truskawki, gruszki i wielu, wielu innych naszych rodzimych owoców. Znamy też smak bananów, pomarańczy i kiwi. Nie rozpatrywałbym kultury w kontekście strawnej czy

niestrawnej, natomiast gdy leży na talerzu owoc, którego nigdy nie jadłem, to jestem na tyle ciekawy, że chcę go spróbować. Znajdą się oczywiście osoby, które będą miały obawy, czy będzie dobry – nie za słodki, nie za kwaśny, a może będą w nim pestki... To jest też zadanie ośrodków kultury, by podawać ludziom coś gotowego na talerzu. Być może nie raz będziemy musieli zmierzyć się z opinią, że coś jest niedobre, niestrawne, ale zabawa polega na tym, że każdy może skomponować swój sok owocowy według własnego uznania. To jest dobre i zawsze trafia. Tego może nie widać, ale w produkcji wydarzeń kulturalnych jest bardzo duża konkurencja i być może w gminach ościennych są sceny z bardziej znanymi owocami, które kuszą naszych mieszkańców. Ale my, jako Suski Ośrodek Kultury, chcemy wzbogacić ofertę kulturalną o tę egzotykę, której nigdzie indziej nie ma. Na naszą ofertę „kulinarną” odpowiadają osoby żadne owocowych przygód.

A jakie owoce czy soki lubią mieszkańcy Susza?

Okazuje się, że najlepszy jest sok wieloowocowy. Misja ośrodka kultury w kontekście smakowania i uczenia się smaków jest dosyć trudna. Kiedy obserwuję inne centra kultury, nie zależy to od miejsca, w którym się mieści, czy liczby osób, do których się przemawia tą kulturą. Przykładowo kilogram jabłek kosztuje tyle, co małe opakowanie malin i niekoniecznie trzeba się napchać tymi jabłkami, ale to miejsce częściowo zagospodarować garścią wiśni, odrobiną jagód i obcować z tymi witaminami, z tą rzeźkością, dać się ponieść tej zdrowej stodyczy, jaką jest kultura. Owocowy mix, który oferuje Suski Ośrodek Kultury jest pięknie skomponowaną i opowiedzianą historią. Kultura, niegdyś kojarząca się z powagą, koszulą zapiętą na ostatni guzik i krawatem zaciśniętym tak, że plecy same się prostują, stała się lekką, przyjemną i kolorową formą spędzania wolnego czasu. Kultura może być smakowaniem, doznawaniem, dotykaniem i obcowaniem z czymś lekkim, witalnym, barwnym, egzotycznym i naszym rodzimym polskim, warmińskim, swojskim.

A wy, jaki owoc lubicie lub jakiego chcielibyście jeszcze spróbować? ■



ZDZISŁAW LOMPERTA

PODRÓŻ DO CIEKOT

Podróże do marzeń napisanych przez Stefana Żeromskiego są zawsze ciekawe. Przy stopniowaniu trudności dostawania się do innych światów ta podróż jest łatwa, ponieważ półka z książkami autora jest blisko, za oknem prószy śnieg, obok gorąca herbata, a w głowie myśli o odbytej pielgrzymce do Ciekot – do miejsca, gdzie każdy odwiedzający ma nadzieję natknąć się na jakiegokolwiek owiane tajemnicą sylwetki szklanych domów, ślady czegoś, z czego rodzi się talent i sława. Myślę, że takie pobudki ukryłem poza świadomością, a te zamierzone, uchwytnie, to chęci zobaczenia miejsc, w których swoje dzieciństwo spędził Stefan Żeromski.

Była to podróż z lękiem, z którym także chodziłem kieleckimi ulicami, w miejsca kiedyś będące gliniankami, dokąd bardzo często chodził młody pisarz. Jak gdyby widziałem jego zjawę – chłopca siedzącego w szkolnej ławie, albo siedzącego w kozie, albo biegającego do kolegów przez ulice miasta, albo na wagarach; dorostego spacerującego albo spędzającego długie godziny na rozmowach o Polsce z Bemem. Obawy, trema, lęk na pewien czas odsunęły się na chwilowe zapomnienie, bo właśnie w tym czasie został ogłoszony odjazd autobusu na Łysą Górę z rotundy dworca PKS. Stało się. Prastara ziemia za oknem autobusu, z dymkami w wyobraźni. Było tak, jakbym jeździł tą trasą od wieków, jakbym widział te ziemie od wieków, zdawało mi się, że byłem tam zawsze, a świętokrzyskie krajobrazy pokazywały mi swoje dawne oblicze. Oderwałem wzrok, żeby spojrzeć na parę Hindusów siedzących obok, starszą kobietę i młodego mężczyznę, prawdopodobnie jej syna, z rysami twarzy znad Gangesu, którzy również jechali na Łysą Górę.

Łysa Góra, płaskowyż, na którym wyłaniała się stacja radiowo-telewizyjna, nieco dalej klasztor, a wokół mało zwracające na siebie uwagę kamienie Cyklopów, ułożone w innym porządku niż kiedyś, o których wieść głosi, że tworzyły niegdyś

zamek ogromnych rozmiarów. Dalej Puszcza Jodłowa, zielona, tajemnicza, miejscami ponura i wilgotna przez butwiejące pod stopami liście, rozświetlana wiekowymi bukami przechowującymi w swoich koronach jesienne słońce.

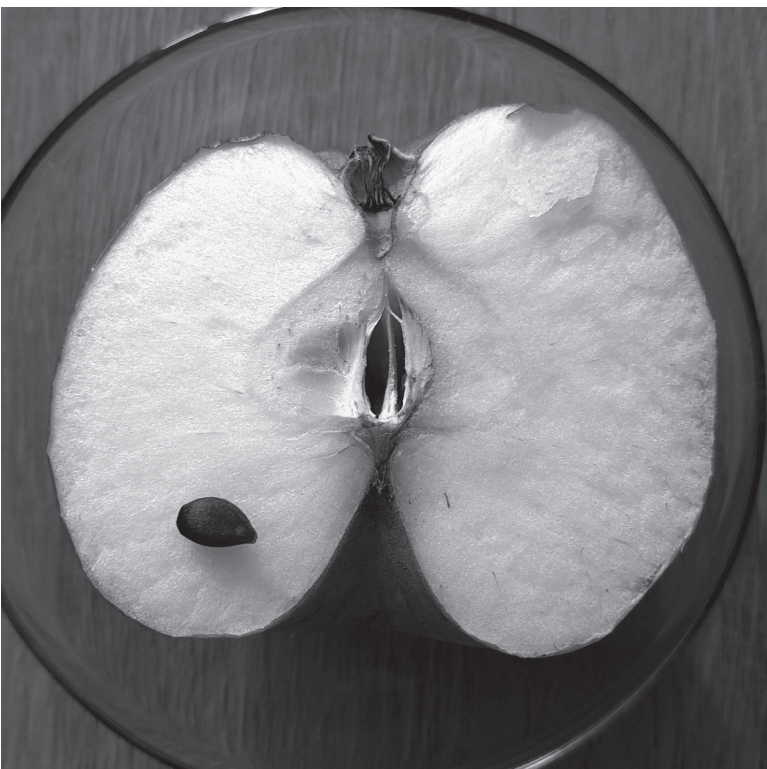
Gdy zszedłem ze szlaku górskiego, gdy stałem nad cichym stawem w Ciekotach, obtadowany wrażeniami i myślami, obejmując wzrokiem panoramę od Łyśca po Radostów, nie zobaczyłem żadnego szklanego domu. Zaginęły ślad i pamięć budynku, w którym mieszkał pisarz w latach chłopięcych. Rozglądając się, wołałem myśleć, że być może przedmioty, kiedyś trzymane przez jego dłonie, teraz przechowują głębiny stawu, z pamięcią dla kolejnych pokoleń. Oddając głos rzeczywistości, nie mogę zataić, że w pobliżu stawu znajduje się skromna tablica pamiątkowa – nie na miarę marzyciela – i budowla przypominająca amfiteatr. Dookoła cisza pogrzebowa, jednak potrzebna własnym myślom i burym chmurom, sunącym po deszczowym niebie, z przerwami na promienie słońca rozjaśniające gładkie lustro stawu, z cieniami pomostu, nielicznymi drzewami.

I niebo, i staw przypominały rosochatą sosnę. W uchwycionej jasnej chwili wrzuciłem do wody kilka słów na kartce, przeznaczonych dla Stefana Żeromskiego wraz z meldunkiem własnym, że jego słowa są pamiętane. Czułem pod stopami, że cierpliwa ziemia płacz, lament i jęki kołysze od wieków i czułem, że jeszcze leczy rany po hitlerowskich najeźdźcach. Tu, nad tym stawem, za wcześniej odeszłą matką pisarza, jego kochaną matką, która nauczyła go kochać Polskę, tu też odszedł za wcześniej jego ojciec. Wokół cisza i pamięć.

W myślach zawsze wracam do Ciekot. Teraz mam w ręku nowelę pisarza „Puszcza Jodłowa”, przeczytałem ją kolejny raz i na pewno się wzruszę, nie powiem jak...

CHARON

Spragniony wiecznej pracy Charon wozi dusze w płomieniach rzek z dalekiego świata, po ludzkiej ziemi, między nożami z jeszcze dalszego jeziora. Czasem spojrzę na ocean ogrodów umarłych. Uszy zatyka przed płaczem, lamentu nie słucha, bo gorzki jest, bo duży jest, pełen pożaru w oczach, jak ogon węża z pękniętym sercem w zębach czasu. Żegluję po życiu, do księżyca srebrnego albo miedzianego, w jego światłach, w światłach nocy i dni, w barce Mojżesza, Zeusa i Pana. Wąwozy skaliste, góry strzeliste rozmowy z niebem prowadzą, po którym hulają potomkowie Boreasza. Przewoźnik pilnowany jest przez Gryfy, za topielami morskimi, tam, gdzie niedźwiedź dawno temu zasnął, stał się Arktosem. Ma skrzydła długowieczne od Pegaza albo po nim, pomaga Prometeuszowi tworzyć nowego, lepszego człowieka. Słońce tam wschodzi, przesila się o północy i wiezie nowych ludzi. Oni mówią, że są z Nieba, z ogrodów złotych jabłoni, że mają szczęśliwsze marzenia. Szepty słysząc za Oceanem.



DWA PEGAZY

Z otwartych szeroko okien w zielonych ramach widać krótką noc, prawie białą, nad przestworzami rozległej niziny, do której w ciszy dobiega poszum Morza Bałtyckiego. Światło księżyca leniwie przenika rozciągniętą ciemność w niesłabnącym cieple z nagrzanego dnia. Widoczne jak pod lampą dwa skrzydlate konie wzmagają jasność błękitnym umaszczeniem. Wiele psów, które teraz czuwają, głowi się, pilnując złotych studni ze złotych pierścieni, nad wiecznie świeżą wodą i zatapia swe tby w lustra rzeńskie, w myśli, do gwiazd, zaś Wielka Matka Poranków już się wyspała. Oczy skrzydlatych braci patrzą na szafranową suknię swojej Pani. Za chwilę ich dosiędzie i wyruszy w drogę za swoim bratem, na zachód, ze światłem całego nieba, rozdając złoto wszystkim kolorom.

Chłopcy, dziewczęta i dorośli otaczają się blaskiem światła, wylegują się na złotych piaskach i złoto-zielonych trawnikach, barwiąc się hebanową barwą, najładniejszą.

Następnego dnia, gdy Szafranowa Wielka Pani obudziła się, zastała swoje skrzydlate konie we mgle, w której kłębiły się ich oddechy. Jeden był złotym mieczem, drugi – złotogrzywy. Pani dotknęła ich różanymi palcami, coś do uszu szeptała. Wieści rozeszły się, złote koguty o tym już pieją. Bliźnięta nowe się rodzą, obudził się Feniks, Daktyle rosną, Panny z ogrodów i pól kosze z owocami i warzywami noszą, płynie światło po ziemi. ■

Fot. Wiesław Wachowski, 2024

BAI JUYI

Wiersze w tłumaczeniu KRZYSZTOFA D. SZATRAWSKIEGO

Brzegi Jeziora Zachodniego w Hangzhou są atrakcją turystyczną od ponad tysiąca lat. Odbite w lustrze wody malownicze góry, kwiaty lotosu kwitnące w cichych zatokach, świątynie i pagody sprawiają, że o Hangzhou mówiono, iż ziemia spotyka się tu z niebem. Piękno tego jeziora opisywał Bai Juyi (772-846), jeden z największych poetów dynastii Tang. Podobnie jak Li Bai i Du Fu był urzędnikiem cesarskim. Tym, co go wyróżniało, było dążenie do uproszczenia języka poetyckiego, tak aby przekaz był czytelny dla każdego. W wierszach Bai Juyi nie brakuje satyry na postępowanie urzędników i obrazów trudnego losu poddanych. Nic dziwnego, że wielokrotnie był celem spiskowców, a jego pozycja na dworze cesarskim nigdy nie była pewna. Bai Juyi był również muzykiem i uczonym.

Jezioro Zachodnie zawdzięcza mu znacznie więcej niż poetyckie opisy. Mieszkając w Hangzhou zauważył, że los chłopów zależy od zapasów wody w wysychającym jeziorze, zatem jako gubernator prowincji Zhejiang zdecydował o wzniesieniu nowej grobli. Na brzegu Jeziora Zachodniego stoi pomnik Bai Juyi. Scena zbiorowa przedstawia poddanych i służącego, który przyprowadził konia. Umieszczony w centrum sceny poeta żegna się z ludźmi, proszącymi, aby nie opuszczali swego stanowiska.

Krzysztof D. Szatrawski

WIOSENNA WYCIECZKA NAD JEZIORO QIANTANG

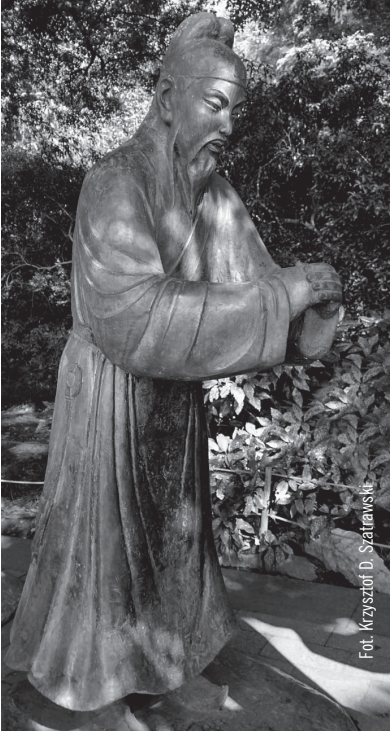
Na północ od świątyni Gushan, na zachód od Jia,
lustru wody jest spokojne, chmury płyną nisko.
O miejsca na gałęziach walczą już wczesne wilgi,
niżej młode jaskółki dziobią wiosenne błoto.
Polne kwiaty coraz częściej czarują spojrzenie,
świeża trawa całkiem okrywa końskie kopyta,
Najbardziej mi się podoba wschodnia część jeziora
piasku biała skarpa w cieniu zielonych topoli.

WIOSENNE PYTANIA NAD JEZIOREM

Nadejście wiosny nad jeziorem jest jak rysunek,
płaską przestrzeń okalają rozrzucone szczyty.
Zbocza góry Songpai pokrywa tysiąc szmaragdów,
Księżyc płynie na falach, koralik z perłą w sercu.
Nitki młodego ryżu splatają się w dywan,
rosną puszyste kotki na tle żywej zieleni.
Nie umiem się zdecydować by opuścić Hangzhou,
jezioro zajmuje połowę mego pobytu.

KWIATY TO NIE KWIATY

Kwiaty to nie kwiaty, mgła nie jest tylko mgłą
gdy przychodzą w nocy, odchodzą o świcie.
Całkiem jak sen albo wiosna przychodzą tu często,
aby zniknąć o poranku jak chmura, bez śladu.



Fot. Krzysztof D. Szatowski

TRAWA

Każdego roku trawa wysycha,
na równinach kwitnie okazałe.
Pożary nie mogą jej wyczerpać
wiosną wiatry ożywają zieleń.
Odległa woń spływa starą drogą
i lśni szmaragdowo w murach miasta.
Drogi przyjacielu, kiedy odjeżdżasz,
bujna trawa pełna jest pożegnań.

GÓRSKIE DRZEWA PI-PA

Wysoko w górach, pielęgnowałem wczesną starość,
Koryto rzeczki wyściełały liście drzew pi-pa.
Jesienny wiatr zabarwił je ognistą czerwienią
wyschłe w słońcu gałęzie, obrócone w proch liście.

Oglądam się na bezbarwne grusze i brzoskwinie
Hibiskus swoje odzwierciedlenie znalazł w kwiatach.
Jego korzenie rosną głęboko pod skałami,
Nie można go zdjąć ze ściany i zabrać do domu.

PIOTR SZEWC

Zaimaszki tożsamościowe

Autorowi „Co to to”

1.
Odtąd dotąd tylko Zby
dalej ona on i ty

2.
Mały Zby duży Zby
czy to ciągle ten sam ty

3.
Czy duży Zby
to ten sam ty

4.
Zby ty przed czy po
w drodze do

5.
Zby to ty czy inny ty
jeszcze nie Zby

16 lutego 2024

PIOTR SZEWC – (ur. w Zamościu w 1961 r.) poeta, prozaik, eseista. Autor wielu nagradzanych książek. Mieszka w Warszawie.

AGATA GRZEGORCZYK-WOSIEK

Zanim zaowocują

Już po zimie. Na starej jabłoni przy drodze wyrosły pierwsze listki. Jeszcze po-gniecione i nierówne, jeszcze bardziej żółte niż zielone. Nie minie jednak wiele czasu, a obok zaczną pokazywać się małe różowo-białe pączki. Tylko patrzeć, jak nabrzmieją niespokojnie, jakby musiały się spieszyć. W tym pośpiechu zaczną pękać jeden po drugim, przyciągając owady świrdującym zapachem. Chwila mo-ment. Mgnienie. I co? Czy zdążą? Jeśli owady przeniosą pyłek, to po jakimś czasie z zarodka rozwinie się nasiono otoczone zalążkiem owoców. Potem, przy byle podmuchu wiatru, białe i różowe płatki, niby śnieg opadną na ziemię i trawę. To czas, kiedy trzeba będzie czekać. Cierpliwie. Dzień po dniu. Tydzień po tygodniu. Do pełni lata albo nawet wczesnej jesieni.

Człowiek czeka. W tym czasie krąży pomiędzy drzewami. Nasiąka budzącą się energią. Chłonie ciepło i chłód, kolory i faktury. W tym czekaniu niby jest bierność, ale to nie tak, chociaż tak to może wyglądać z daleka. A z bliska? Wszystko huczy. Biochemia wzrastania zamienia się w owoc, wiersz, obraz... czasem po prostu na przepis na pieczone jabłka, marmoladę lub wino!

Podobnie rzecz miała się z sadami. O tym, jakie tam rosły drzewa owocowe, można dowiedzieć się nie tylko ze wspomnień i opisów, ale też, wędrując po warmińskich bezdrożach, nie raz można trafić na pozostałości starych, opuszczonych przed laty gospodarstw. Wygląda to tak, jakby domy nieomal wyprowa-dziły się razem z właścicielami, a z ziemi wystają już tylko gdzieś tam resztki fundamentów. Jeśli się jednak obejdzie dookoła to niewidzialne już domostwo, można wówczas trafić na stare drzewa owocowe. Są to przede wszystkim daw-ne, dziś już nieco zdziczałe gatunki jabłoni i gruszy. Zdarzają się też wiśnie i czereśnie. Rzadziej trafiają się śliwy, choć przecież wiadomo, że i węgierki, i renklody rosły i owocowały w dawnych sadach na terenie całej Warmii.

Fragment z nowo powstającej książki: „Biesiadnik Warmiński”

PIECZONE JABŁKA

Wybrać równej wielkości owoce, tak by piekły się równomiernie. Umyć po-rządnie i wydrążyć środek małą łyżeczką, pozbawiając owoc gniazda na-siennego. W to miejsce nałożyć kolejno: rodzynki, orzechy, cynamon, miód i masło. Rodzynki w środku jabłka napęcznieją, topiące się masło połączy miód i cynamon, wnikać też do miąższu (im kwaśniejsze jabłka, tym wię-cej dodać miodu, tak by zrównoważyć smaki). Piec w średnio nagrzanym piekarniku do momentu, aż skórka na owocach zmarszczy się trochę i zmie-ni kolor.

Podawać bezpośrednio po upieczeniu, można też taki deser ozdobić łyżką bitej śmietany.

Papierówki – pierwsze letnie jabłka, na które czeka się od wiosny! Kiedyś w każdym porządnym przydomowym sadzie musiało rosnąć przynajmniej jedno takie drzewo. W ogrodzie przy domu, w którym wychowywałam się, rosła piękna stara papierówka, która co roku rodziła dość duże, żółtozielo-ne owoce o winnym smaku i niezwykłym aromacie. Dziś jeszcze zdarza się trafić na tę odmianę na jakimś straganie albo w warzywniaku i kupić trochę w odpowiednim momencie, kiedy miąższ nie stanie się jeszcze zbyt miękką i nadmiernie „papierowy”. A dzieje się to szybko i ten moment odpowiedniej dojrzałości trwa stosunkowo krótko. Nie ma więc innego wyjścia, tylko takie dobrze dojrzałe owoce przerabiać na kompoty, dobrze wysmażone marmo-lady jabłkowe i inne wspaniałości przeznaczone do zamknięcia w słoikach albo jak kiedyś, w dużych glinianych garnkach.

Proces przygotowywania przetworów na zimę trwał dawniej przez całe lato i nie było ważne, kiedy weszło się do kuchni, to i tak zawsze można było zobaczyć ogromną mosiężną misę pełną podsmażonych już konfitur lub dżemów. Po kolei przerabiano truskawki, porzeczki, a wczesnym latem były to właśnie papierówki.

Wśród ogólnych uwag o konfiturach, które można wyczytać w „Doświadczonych sekretach smażenia konfitur i soków” Florentyny Niewiarowskiej i Wandy Małeckiej, jednej z najstarszych polskich książek poświęconych tej tema-tyce, wydanej w 1877 roku, wiele cennych wskazówek spisanych jest już we wstępie:



Fot. Wiesław Wachowski, 2024

„Konfitury powinny się smażyć w naczyniu mosiężnym, wewnątrz niepobielanem lub w dużej rynce kamiennej, zupełnie nowej, gdyż w każdym innym naczyniu kolor owocu zmienia się. Najlepiej jest mieć do tego nowe zupełnie naczynie, przeznaczone li tylko do smażenia konfitur i nigdy na nic więcej nie używane. Rondel lub rynka przeznaczona do smażenia konfitur powinny być szerokie, bo jagoda nie będąc naciskaną wierzchnią warstwą lepiej się wypełnia syropem. Dobre są do smażenia mosiężne miedniczki, umyślnie na ten cel przeznaczone z żelazną rączką. Najłatwiej jednak smażyć konfitury w rynce kamiennej i w miarę dosmażenia się zdejmować po trochu z ognia, zdejmując dwoma rękami przez czystą ścierekę”. Te wskazówki i takie „naczynia mosiężne” przechowywały się w mojej rodzinie. Patrząc na nie, niemal czuję zapach przetworów, które w nich powstawały przez całe lata! Dziś wydawać się może dziwacznym zabieranie ze sobą, wśród wojennej zawieruchy, ogromnej, bo przeszło półmetrowej, misy do smażenia konfitur, ale wówczas taka misa dawała możliwość przygotowania przetworów na czasy, kiedy brakowało świeżych warzyw i owoców. W domu te misy, o kształcie odwróconego kapelusza z okrągłym, wyłożonym rondem, były od zawsze i jak inne niezbędne przybory kuchenne miały swoje miejsce i przeznaczenie. Z tego, co udało mi się ustalić na ich temat, prababcia otrzymała je niejako w posagu z domu rodzinnego, co oznacza, iż już wówczas mogły być wiekowe. Wtedy takie rzeczy przekazywało się po prostu z pokolenia na pokolenie. Czy pochodzą z początku XX czy końca XIX wieku, trudno byłoby dzisiaj ustalić, tym bardziej że żadna z nich nie jest oznaczona sygnaturą.

Co ciekawe, oprócz zaleceń dwu XIX-wiecznych mistrzów przetworów odnaleźć można obecnie wiele informacji o tym, że mosiężne naczynia rzeczywiście są

najlepsze do przygotowywania przetworów. Po pierwsze, właściwości cieplne tego metalu powodują, że nagrzewa się on niezwykle równomiernie, zapewniając właściwe ogrzewanie przygotowywanych produktów, jak i zapobiega ich przypalaniu. Ponadto jony miedzi, które przenikają do potraw, usuwają wszelkie pleśnie, grzyby i bakterie. Sam kształt misy i jej duża powierzchnia pozwalają szybko odparować wodę, dzięki czemu owocowa masa gęstnieje w krótszym czasie i nie traci wielu cennych składników. Współczesne naczynia miedziane należą do najdroższych i używane są przez najlepszych szefów kuchni! Odnalezienie takiego naukowego potwierdzenia dawnej „mądrości ludowej” zawsze daje mi dużo radości, gdyż potwierdza, że nasza intuicja jest zupełnie niezwykła.

Prawidłowo przetwory na zimę smażyło się z najładniejszych i najzdrowszych owoców, tak by ich trwałość była jak największa, jednak jabłkowe „spady” również znajdowały swoje zastosowanie. Przebrane i oczyszczone wykorzystywano na bieżące potrzeby i przerabiano na marmolady, których nie przeznaczano do długiego przechowywania. Taką właśnie tutaj proponuję.

Fragment książki: „Historia na talerzu”, Agata Grzegorzczak-Wosiek, 2022

MARMOLADA JABŁKOWO-ŚLIWKOWA

600 g śliwek bez pestek

400 g obranych i pozbawionych gniazd nasiennych kwaskowych jabłek (np. antonówki)

1– 1 1/4 szklanki cukru

Owoce i cukier wsypać do rondla z grubym dnem i smażyć przez kolejne trzy dni, aż do uzyskania konsystencji powideł. Gotowe powidła nałożyć do kamiennych, stuletnich garnków przywiezionych po wojnie przez prababcię z Kresów Wschodnich. Zjadać na bieżąco do chleba z masłem, do jogurtu albo naleśników.

OWOCOWE WINO Z JAGÓD CZARNYCH CZY MALIN

Jak się z jagód czarnych czy malin zleje sok, to wówczas na to wlać 3 litry wody przegotowanej i niech postoi tak 4 dni. Zlać i dodać 4 szklanki cukru, pozostawić aż zacznie fermentować. Później przefiltrować.

Przepisy pochodzą ze starego przepiśnika prababci Marii Ay z domu Zambrzyckiej. ■

BOŻENA KRACZKOWSKA

ZATORZE

Zatorze w Olsztynie. Lubię tę dzielnicę. Domy z grubymi murami, starzy ludzie i drzewa też stare, ale mocne, wysokie. Dużo pamiętają.

W tych domach niskie zadbane partery i maleńkie ogródki. Właściwie to nie ogródki, tylko takie skrawki ziemi, nie szersze niż sam chodnik. A w ogródkach, gdy przyjdzie już lato, w cieniu drzew fioleczą się bzy, tulinie, malwy i co tam jeszcze sobie ludzie wysiali. Codziennie przejeżdżam tędy w drodze do redakcji i codziennie wyobrażam sobie, co też tam się dzieje w tych domach. Ludzie gotują wodę w czajnikach, chodzą po schodach chłodnych klatek. Mrok, chłód, zapach ziemi i wilgoci.

Dzisiaj też jechałam przez Zatorze. Na skrzyżowaniu, w pełnym słońcu zobaczyłam panią Elżbietę Dudziuk. Elegancka, z różową fryzurą. Studiowałam u niej emisję głosu. Szło mi raczej kiepsko, ale może dlatego, że była wymagająca. Pamiętam też, że aby uruchomić przeponę, a raczej uświadomić sobie, że ją mamy, „podnosiliśmy” jedną ręką pianino. To znaczy próbowaliśmy podnosić, bo gdzieżby się ono dało podnieść. W końcu jednak zrozumiałam zasadność posiadania przepony. Potem okazało się, że moja słaba emisja wynika z chorych strun głosowych i wylądowałam na urlopie dziekańskim.

I dzisiaj, kiedy zobaczyłam tę elegancką, dojrzałą kobietę z różowymi włosami wróciły wspomnienia. Fajne to były czasy. A potem, kiedy cała Polska śpiewała „Kobiety są gorące” Norbiego, dowiedziałam się, że pani Elżbieta jest jego mamą.

Napisałam o tym, bo jechałam dziś przez olsztyńskie Zatorze.

Lubię tę dzielnicę.

ŚWIAT PROMOCJI

I stało się, musiałam wyjść z lasu. Wyszłam.

Wszystkie doty połknięte.

Osiem kilometrów od mojego domu mieszka miasto. Miasto nawet wojewódzkie. W mieście tym sklepy, w sklepach ludzie i ich ulubione zajęcie – zaje*** się, ale wyszarpać coś świeżącego i pod pachę to, i urwa urwa dyla dalej – do spożywczaka, do markieta, do markieta, do markietaaa!

Co tam godzinne poszukiwania parkingu, to przecież najmielszy sposób spędzania soboty. Pyskówy i szarpanki – bo że zajął nasz parking, bo że wlaź pod koła, bo że nie wlaź. Oczy w lampiony – gdzie taniej, gdzie taniej, gdzie pachnie, gdzie gołe dupy pań śnieżynek, gdzie przecena, zombie, zombie...

Wymiękłam. Nie chcę żyć w takim chlewie. Ja chcę malować, ja chcę smoczką, ja chcę być sama! Serce mi pęka. Chcę do domu, pod koc, chcę płakać.

Do cholery! Dlaczego nie umiem płakać?

Dlaczego nie mogę wyc?

Przecież ten świecący, świąteczny świat jest światem upragnionym. Luksusem jest. Czemu więc pęka mi serce, kiedy pumy 30 proc. taniej i promocja na skrobaczki do szyyyyb?

Chcę biec.

Tak biec!

Daleko.

Uciec.

Do lasu chcę!

Pod drzewem siedzieć, w niebo patrzeć.

Powietrza chcę!

Kolorów!

A przyszło mi żyć w świecącym świecie. A ja nie lubię tego świata. Zatem to kara. Za co?

Chcę impresjonizmu, ekspresjonizmu. Nie chcę tego kretynizmu! NiCyizmu nie chcę!

Pragnę innego świata – codziennie go sobie maluję.

Zapraszam do środka.

Kup go teraz, no kup pan kup, bo jutro go nie będzie.

ZOSTAWCIE MNIE W SPOKOJU

Pomyliłam się, wiem.
Mam prawo do błędu.
Nie jestem z kamienia.
Mam ciało i rozum.
Wstanę więc silniejsza.
Zostawcie mnie w spokoju!

Podobno źle wyglądam.
Podobno źle mówię.
Mam prawo do błędu!
Mam też własne zdanie.
Cokolwiek się stanie... zostawcie mnie w spokoju!

Nie dotujcie mnie tym swoim gadaniem.
Nie poklepujcie.
Nie manipulujcie.
Jestem tym, kim być mogę.
I wygrywam wszystko!
Więcej nie potrzebuję.
Zostawcie mnie w spokoju...



Rys. Joachim Martusewicz

PRZETRWAŁNIK

Możesz być przetrwałnikiem i przetrwać swoje życie.
Ale możesz też żyć!
Z każdego dnia zrobić ważny dzień.
Zatem... żyję tak, żeby nikt nie odczuł ulgi.

ZEMSTA

chciałam cię tylko sobą zachwycić
odałam wszystko, co miałam,
a teraz, kiedy nie mam już nic
ty się postaraj...

TRUDNA WIOSNA

Wytrzymam jeszcze tydzień!
No, może kilka tygodni.
Aż słońce ocalające piórkiem usiądzie na skrzydłach.

SZCZĘŚCIE

Szczęście nie jest czymś wyjątkowym, wymarzonym.
Szczęście jest światem.

W MOIM MIEŚCIE BUDZĄ MNIE PTAKI

w moim mieście budzą mnie ptaki
tu słońce zagląda w okna
przez szpary w lesie.

ALICJA ŻELNIA

Rozkład (pokochają, kiedy umrę)

Dzień 1.

Uderzenie. Ciemność. Ogarnął mnie chłód. Zbudziłam się obolała, pobita. Nie mogę się ruszyć. Zewsząd widać cienie, ale wybrzmiewa cisza. Czy nadejdzie pomoc?

Dzień 2.

Jeszcze nie straciłam nadziei, mimo bólu ciemnych siniaków. Mignęło białe światło. Słyszę głosy. Rozmowy. Bez troskie i nieświadome mojej obecności. Czy ktoś usłyszy mój płacz?

Dzień 4.

Brak słońca. Skazana na powolne duszenie. Z każdą godziną słabnę. Otoczyła mnie wilgoć, wdarła się we wszystkie zakamarki. Niegdyś delikatna i aksamitna skóra, teraz zmarszczona i pociemniała.

Dzień 7.

Chyba mam zwidy. Coś brzęczy w powietrzu. Nie przestaje. Dźwięk wysoki i ciągły. Irytujący. Z wielokrotnia się. Oblepia mnie. Ból się nasila.

Dzień 9.

Przestałam wierzyć, że to sen. Odpływam. Przekształcam się. Czuję się jak wrak. Powoli zabierają każdą moją cząstkę. Rozpoczęły swój taniec śmierci. Ile mam czasu, by żyć?

Dzień 15.

Słyszę miękkie skradanie. Wielki cień pochtania jedyną łunę światła. Pomóż mi, błagam. Nagle przewracam się na bok. Ostre szpony rozrywają mokry pergamin mej skóry. Popadam w głębiny mroku. Czuję tylko słodki zapach zgnilizny.

Dzień 21.

Moje nadzieje budują mi trumnę. . .

Dzień 22.

— Pomóż mi to odsunąć.

— Po co?

— Nie czujesz tego smrodu?

— Czuję.

— Złap za drugą stronę — pchnęli z całej siły.

— Co to jest? — odsunął się z odrazą.

— Brzoskwinia. ■

ALICJA ŻELNIA — studentka III roku filologii polskiej na UWM w Olsztynie, absolwentka Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Olsztynie. Interesuje się sztuką i literaturą w szerokim zakresie. Współtworzy konto na Instagramie: @bestie _ s _ książki, gdzie zamieszcza recenzje książek i relacje z targów książki. Chciałaby zająć się literaturą i edytorstwem.

W SAMYM ŚRODKU – GALERIA VARIARTA

JOANNA ROSTAŃSKA

JOANNA ROSTAŃSKA

Olsztyńska artystka malarka, członkini Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenia „Areszt Sztuki”. Studiowała na Wydziale Malarstwa Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku, a także w Meksyku w Akademii San Carlos. W Meksyku spędziła 25 lat i to zapewne miało, i ma nadal, ogromny wpływ na jej twórczość, którą cechują przede wszystkim żywe i intensywne kolory. Tematyka prac jest bardzo różnorodna, uzależniona od zainteresowań artystki w danym momencie. Zaprasza nas do swojego niezmiernie interesującego świata barwnych pejzaży, pięknych lub tajemniczych postaci, martwych natur. Szczególna kolorystyka, szczerść oraz pewien niezmiernie poetycki rodzaj wrażliwości wyróżniają te dzieła i przywodzą na myśl innego znakomitego artystę – Marca Chagalla.

Artystka pokazuje swoje prace na licznych wystawach w Polsce i zagranicą, gdzie jej twórczość jest dostrzegana i nagradzana.

Tegoroczne wystawy, w których Joanna Rostańska brała udział to m.in.:

- # 8M – *Galeria Espacio T*, Buenos Aires, Argentyna
- *International Exhibition – Flowers, Spring* – Barbagelata Contemporary Art Foundation, Barcelona, Hiszpania
- *Biennale Artbox Expo Project* – *Cipriarte Gallery*, Wenecja, Włochy
- *Special Art Market *24, Investment Proposals*, Los Angeles, USA
- *Kiodygresy IV Międzynarodowy Przegląd Sztuki*, Galeria Stary Ratusz WBP, Olsztyn
- *Swiss Art Expo, Artbox Projects* – Zurych, Szwajcaria

Nagrody i wyróżnienia w roku 2024:

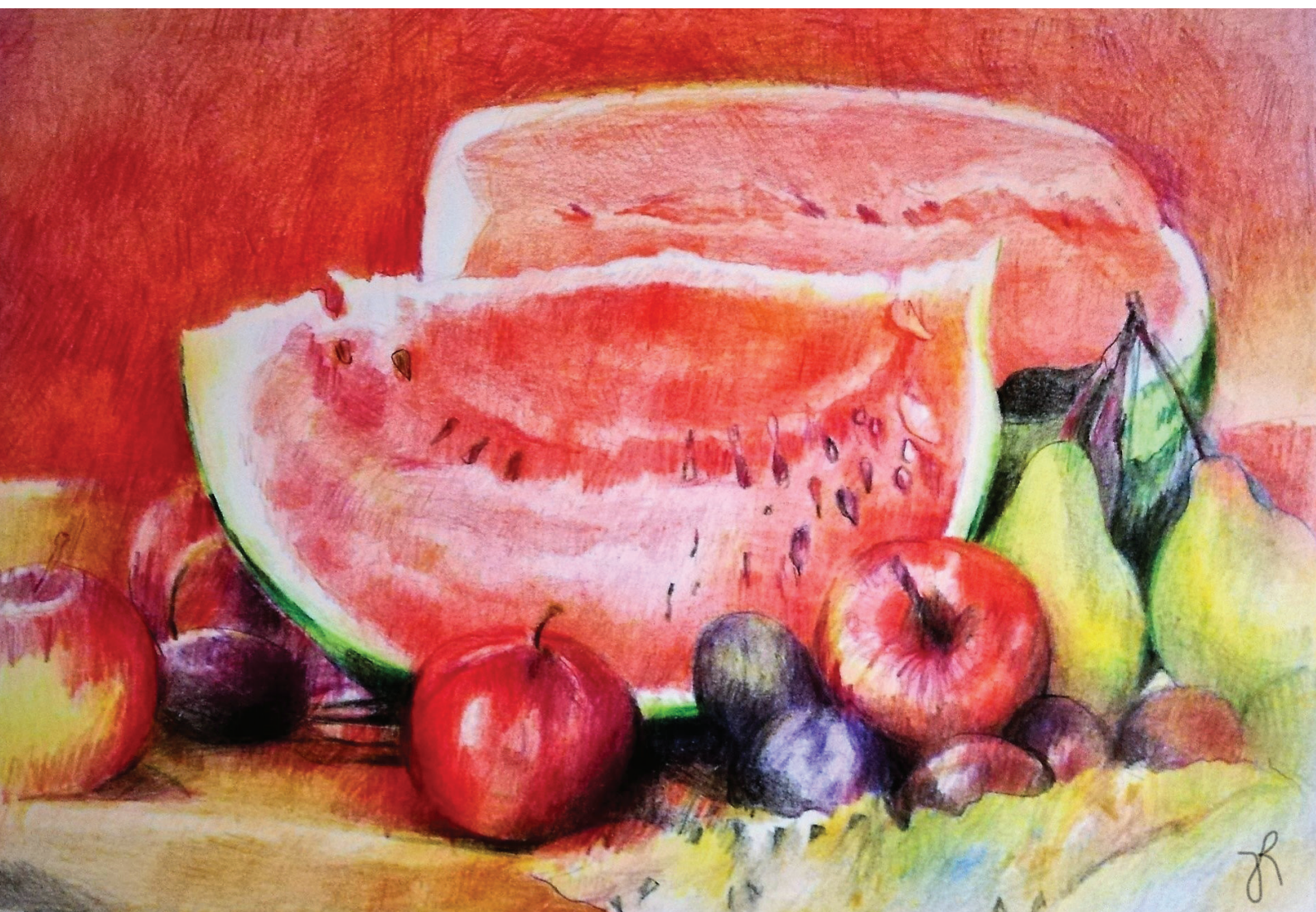
International Prize Botticelli, Ambassador of Art 2024, Palazzo Borghese, Florencja, Włochy; Nagroda Prezydenta Olsztyna za całokształt pracy artystycznej; *International Prize Phoenix for the Arts* – Scuola Grande di San Teodoro, Wenecja, Włochy. ■



Kolor granatu, 43 x 56 cm, akryl, 2022

JOANNA ROSTAŃSKA

O owocach...



Studium (arbuzy), 73 x 50 cm, technika mieszana, 2022



Piknik, 60 x 75 cm, akryl, 2023

ANNA RAU I IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK

Legendy miejskie

Warszawa ma swoją legendę, nawet niejedną. Czy Olsztyn posiada legendy miejskie? Zobaczmy...

ULICA WIŚNIOWA W OLSZTYNIE

To bzdura, że nazwy ulic owocowych w Olsztynie zostały nadane przez architekta. Czy nawet radę miasta. Czy choćby mieszkańców miasta. To znaczy – taka jest oficjalna wersja, ale to nieprawda. Wiadomo, co z taką informacją można zrobić... Niech zostanie między nami, że chodzi konkretnie o ulicę Wiśniową. Zaznaczam, że to nieprawda, że przemysł nielegalnych owoców objął w końcu całe Zatorze, bo przecież tak dobry biznes nie utrzymałby się tak długo i nie byłoby w niego zamieszanych tyle prominentnych osób, które są w to wpłątane, o czym wszyscy wiedzą, ale boją się mówić, bo tacy mafiozi owocowi to potrafią zrujnować życie normalnego człowieka.

A o co chodzi. Wiadomo. Wiśnie nie są w sprzedaży cały rok. Drogie jak grom! Drogie w cholerę po prostu. I jeden taki, co mieszka przy Wiśniowej... No i tak, mieszka, bo dzisiaj to można robić przekręty i nikt się tym nie zajmuje – kiedyś to była władza, a teraz to nie ma władzy, a za to przestępcy, pani złota!... No więc mówią, że ten Leopold, ten, co mieszka tam po lewej stronie, ten, co miał takiego dostawczaka z paką, co tak często jeździł, to wszyscy wiedzieli, że bez powodu to on tak nie jeździ. A swoją drogą, co w tym czasie ta jego żona robiła, to przechodzi ludzkie pojęcie, no ale... Ja tam nie lubię ludzi obmawiać, więc nie powiem. Więc ten gościu załatwił sobie przez szwagra i brata szwagra

całoroczne dostawy wiśni! I sprzedawał za grubą kasę! Wiśnie z eksportu, bo wiadomo, że jak się posmaruje, to się załatwi nawet za granicą. Ten Leopold zamożny, zawsze elegancko ubrany, z wąsami, w butach ze skóry. A ta żona to już w ogóle cała złotem obwieszona, a potem takie sprawy temu mężowi wystroiła. Na Porzeczkowej, taaak...

A co do wiśni – wszyscy wiedzieli, że Leopold był szefem zorganizowanej bandy przemytników. Sieć obejmowała cały kraj, a Wiśniowa była centrum operacyjnym, i stąd nawet na Wschód przemycali. No tak, kogoś tam mieli za Gołdapią. I tak całe lata przemycali dobro narodowe z zagranicy, za granicę. No i co z tego, że to nie były polskie wiśnie. Co sobie ten Interpol o Polsce myślał, i ci, co te wiśnie nam wciskali?... Katastrofa. Choć z drugiej strony – Polak potrafi, nie? Że jak to niby robił? Jakie niby, bardzo prosto. Kanaliza jest wszędzie, nie? No to tą kanalizacją z Odry, zza Buga, zza Sekwany, zza Tamizy, wszędzie, gdzie rosną wiśnie! Może i z Japonii nawet, bo tam wiśnie dobre i Japończycy je kochają, że strach, i dużo mają. Skrzynki obite blachą z powodu szczurów, bo w kanalizie zawsze szczury jak prosiaki. I tyle lat, panie, to szło! I nie złapali go, tego Leopolda! No jak, że nieprawda, skoro za rękę nie złapali, jak wszyscy o tym mówią i nawet ulica jest Wiśniowa. Wstydu ci ludzie nie mają.

Anna Rau



Fot. Iwona Bolińska-Walendzik

KOŃ Z ULICY WIŚNIOWEJ

Legenda miejska głosi, że widzieli to na własne oczy. Spotkali się pod „Wrzosem”, osiedlowym sklepem Społem, tuż za świeżo wybudowanym kościołem. Było ciepłe, letnie popołudnie. Poszli jak zwykle popatrzeć na torowisko, leniwie przepływające chmury, pociągi na trasie Olsztyn – Wschód i Zuzannę, która o tej porze przeprowadzała tamtędy swojego konia.

I ona, i on byli warci grzechu. Oboje dorodni, postawni. Ona miała krucze włosy, on – kare umaszczenie. Stawała tuż za torowiskiem, wsiadała na konia, dawała mu znak, a on stawał dęba, gdy przejeżdżał pociąg *Rybak* relacji Szczecin – Białystok, potocznie nazywany Strzałą Północy, 18.37 z Olsztyna Głównego. Ktoś tam pojawił się w oknie wagonu, tuż za lokomotywą, machał do niej, i tak co dnia.

Tym razem było jakoś inaczej.

Zuzanna była ubrana w białą suknię, niczym panna młoda w dniu ślubu. Kary miał wpięty w grzywę biały kwiat. Gdy pojawiła się Strzała, dziewczyna spięta konia, on wierzgnął nogami. Zuzanna zsunęła się z jego grzbietu i spadła wprost pod koła. Prerażony rumak ruszył galopem, obok wieży wbiegł na ulicę Morwową, potem Malinową, przebiegł Porzeczkową, skręcił w prawo na Wiśniową i tam padł. Jak mówią ci, co to widzieli, a widzieli, bo pobiegli za koniem, jego cień odłączył się od ciała i wspiął na elewację najbliższego domu. Tam zespolił się z tynkiem w weselnego konika – sgraffito.

Iwona Bolińska-Walendzik

Katarzyna Guzewicz

Literackie jabłko. O „Papierówce” Miejskiego Ośrodka Kultury

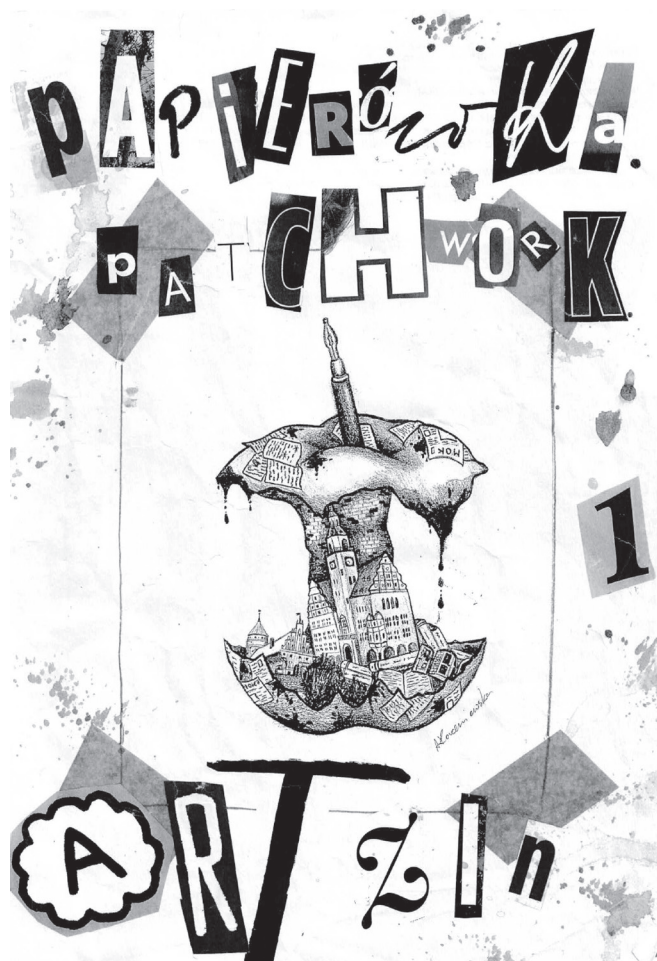
„Papierówka” to projekt niezwykły. „Papierówka” długo była obecna na kulturalnej scenie Olsztyna, a w międzyczasie zmieniła się nawet w „Papierówkę”. Nie wiem, jak o niej pisać. Czy to coś fajnego, co przeminęło? Ale od początku...

Powstała w 2017 roku, jako zwieńczenie warsztatów literackich Mariusza Sieniewicza. Miejskim Ośrodkiem Kultury w Olsztynie zarządzała wtedy Agnieszka Kołodyńska-Iglesias. „Papierówka” od początku miała nieco punkowo-buntowniczy charakter, pismo było artzinem. Skąd pomysł na nazwę? – Wydała mi się idealna na opisanie młodej, debiutującej literatury, na teksty pierwsze, na ich istoczenie się *tu i teraz* – wspomina Mariusz Sieniewicz. – „Papierówkę” należy czytać w jej najprostszej metaforze – to pierwsze jabłko, ta *najszybsza* z odmian literackich jabłek, która pojawia się w nowym roku. W Olsztynie dużo mamy renet, zaś papierówek jak na lekarstwo. Podobnie jak przy warsztatach, pismo zwracało uwagę na teksty pierwsze, inicjacyjne, na pokazywanie nowych nazwisk. Można więc uznać, że była to kolejna (po „Borussii”, po „Portrecie”) próba opisanego, próba prezentacji nowych nazwisk w olsztyńskiej literaturze i sztukach plastycznych.

Promocja pierwszego numeru okazała się sukcesem. „Papierówka” przez lata funkcjonowała podobnie: najpierw był nabór tekstów, które każdy mógł wysłać na adres mejlowy redakcji. Darek Górkiewicz, który był w redakcji przez lata, przypomina, że wszystko było wtedy robione za pomocą kleju i nożyczek, a potem odbijane na ksero. Szansę na zaprezentowanie się miały osoby piszące zarówno poezję, jak i prozę. Skład redakcji się zmieniał. Z „Papierówką” współpracowali: Olga Żmijewska, Marta Parafińczuk, Marta Flakowicz, Monika Stępień, Bożena Chrostowska, wspomniany Darek Górkiewicz, Karol

Fryta i Szymon Żyliński. Redakcja wykonywała tytaniczną pracę, często niewidzialną, nawet dla autorów tekstów. Darek widział to tak: – Wybieramy teksty do numeru. Odpowiadamy wszystkim autorom. Czasem proza potrzebowała skrótów. Wtedy kolejna korespondencja z autorami. Wybór zdjęć i ilustracji. Potem kolejność, układ. Następnie korekta i redakcja. Na koniec praca graficzna. Po ogłoszeniu naboru to była właściwie praca na cały etat.

Bardzo ciekawym eksperymentem był numer polsko-meksykański z 2019 roku, w którym oprócz standardowych tekstów autorów i autorek z Olsztyna i okolic, znalazła się też poezja i proza autorów z Meksyku. Przekładem na język polski



Fot. Okładka pierwszego numeru „Papierówki”

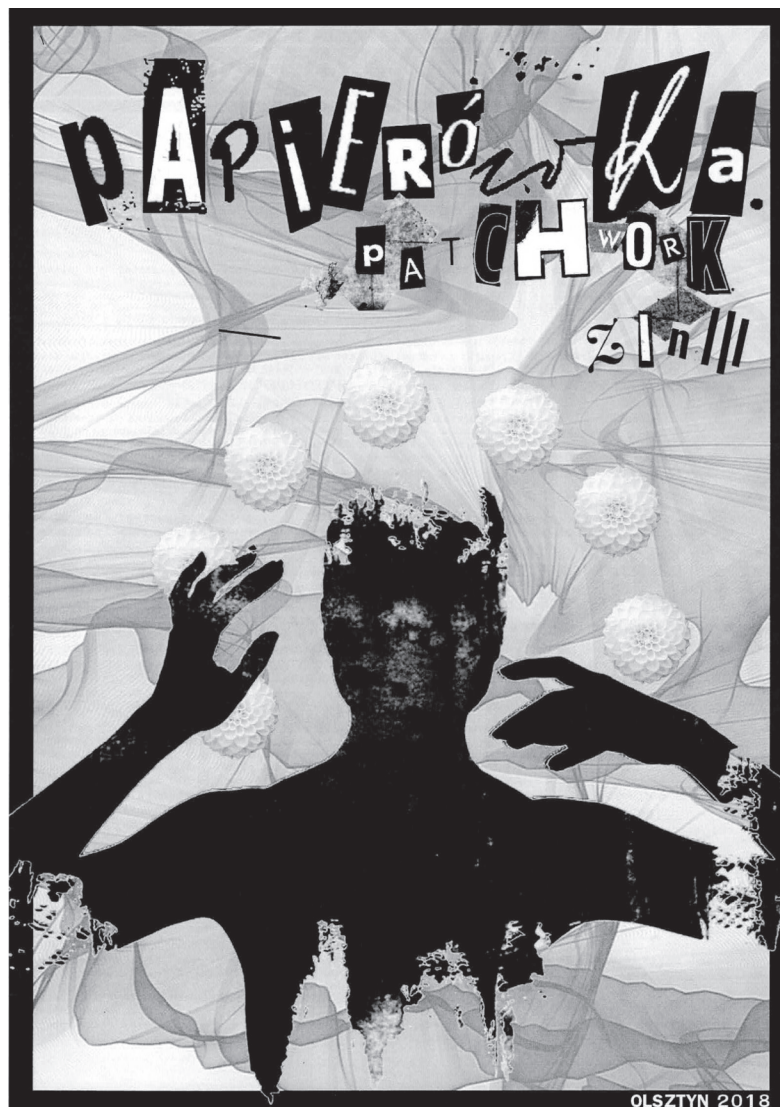
i korespondencją z twórcami zajmowali się Bożena Chrostowska i Darek Górkiewicz. Tłumaczenie, przy zachowaniu rytmu i rymu tekstów, zwłaszcza jeśli chodzi o wiersze (tu Darek sam podkreśla, że uznanie należy się szczególnie Bożenie) było trudne i wymagające. Promocja odbyła się w siedzibie Miejskiego Ośrodka Kultury w Kamienicy Naujacka. To wyjątek, ponieważ takie wydarzenia zazwyczaj odbywały się w Amfiteatrze im. Czesława Niemena albo w budynku zajezdni trolejbusowej przy ul. Knosały.

Autorką wierszy w kilku edycjach była Aleksandra Tchórzewska, zawodowo dziennikarka. Ciepło wspomina promocje: – Takiego drugiego przedsięwzięcia w Olsztynie nie ma. Gdzie twórcy wychodzą z szuflad, ze swoich głuchych ciemnych jam. Gdzie mogą się wyrazić w papierze, ale także w kulturalnej przestrzeni, gdzie czują się bezpiecznie z tym, co przynoszą. Gdzie ich światy, tak bardzo odmienne, często bolesne, doświadczone i poranione, mogą się wzajemnie przenikać. Gdzie nikt ich nie umniejsza.

Promocje kolejnych numerów pisma były zawsze nastrojowe, dopracowane, odświeżone. Z przygotowanym miejscem dla autorów i autorek, gdzie każdy mógł przez chwilę poczuć się jak gwiazda, prezentując własny, wydrukowany tekst. Atmosfera szacunku i bezpieczeństwa sprawiała, że twórcy tekstów zdobywali się na wielką szczerość.

Jako autorka prozy przez całe lata współpracowałam z redakcją i zawsze miałam ten zaszczyt, że moje teksty były publikowane. Gdy zbliżał się nowy numer, starałam się mieć zawsze na podorędziu świeży tekst. To była mobilizacja do rysowania (bo też można było tam wysłać ilustracje), pisania, tworzenia. Mam nadzieję, że to nie koniec przygody z „Papierówką”. I myślę, że liczą na to wszystkie osoby w niej publikujące. ■

Fot. Okładka „Papierówki”



OLSZTYN 2018

JOWITA JAGLA

JABŁKO PRZECIWKO GORCZYCY...

Obły, doskonały kształt jabłka, jego zwodniczy zapach, pełna refleksów światła faktura skórki nasuwają pierwotne skojarzenia z przyjemnością, pięknem, słodką smaku i czymś nieuchwytnym, co można określić jako rozkosz. W wymiarze kulturowym i ikonografii jabłko przynależy do sfery symbolicznej łączącej ze szczęściem i miłością, trzeba jednak pamiętać, iż przypisane mu zostało dodatkowo znaczenie pełne mroku i ciemności. Gest zerwania jabłka z rajskiego Drzewa Poznania Dobra i Zła, oraz wiążący się z owym gestem smak owocu spożytego przez Ewę, na zawsze skazał człowieka i jabłko na nieustanne doznawanie przemijania i umierania... W ten sposób jabłko „uwikłało się” w symbolikę eschatologiczną, sepulkralną i komemoratywną.

Jabłko, obok takich pojęć jak kwiat czy gałązka, stało się w epoce nowożytnej jednym z najważniejszych symboli kojarzonych z dziecięcą śmiercią, obecnych w literaturze i rytuałach pogrzebowych. W wierzeniach ludowych występujących w niektórych regionach Polski (np. na terenie Puszczy Sandomierskiej czy na Podlasiu) jagody i jabłka pojmowano jako pokarm, którym Matka Boska częstuje dzieci, które trafiły do Raju – by nigdy go nie zabrakło. Matka zmarłego dziecka miała zakaz spożywania jagód aż do święta Matki Boskiej Jagodnej (2 lipca) i zakaz jedzenia jabłek do święta Matki Boskiej Zielnej (15 sierpnia). Zwyczaj ten miał jeszcze jedno, arcyważne znaczenie: dzieci porównywano do jagód, owoców wydanych na świat przez matki – tym samym jedzenie ich, czyli unicestwienie, mogłoby spowodować śmierć kolejnych dzieci¹.

Jabłka kojarzyły się także z dziecięcą zabawą, dlatego bywało, że stawały się częścią wyposażenia dziecięcych pochówków: *Dzieciom w Dąbrowie daje się pozłacane jabłka i wianuszki, żeby po przybyciu do raju mogły się bawić na wielkiej łące, przeznaczonej na gry dziecinne*². H. Biegeleisen wspomina w powyższym fragmencie o interesującym zwyczaju praktykowanym przez ludność protestancką w miejscowości Dąbrowa, w rzeczywistości Dąbrówno (Gilgenburg), co także zauważył i odnotował Max Pollux Toeppen w swoim dziele „Aberglauben aus Masuren” (I wydanie 1867): *umarłemu na pierś kładzie się śpiewnik, matym dzieciom daje się do ręki bukieciki i pozłacane jabłka, żeby po przybyciu do raju mogły się bawić na wielkiej łące, przeznaczonej dla nich do zabawy*³.

O podobnym zwyczaju niemieckim wspominał również Adam Fischer: *Matym dzieciom daje się bukiety kwiatów (Badeńskie) i pozłacane jabłka do rąk, aby się miały czym w raju bawić (...)*⁴.

Najpiękniej jednak i najbardziej przejmująco „brzmi” symbolika jabłek w tekstach epitafijnych i poezji barokowej, upamiętniającej chorobę i śmierć dzieci. W epitafium pięciomiesięcznego Stefanka Lipskiego, umieszczonym na zewnętrznej ścianie kościoła klarysek w Starym Sączu (1627) pojawia się następująca fraza: *Ledwie jak kwiat z gałązki wonnej wyszedł, który Znakiem jabłka jest, jam był rodzicom podpory, Kiedy mnie przeciwny wiatr uderzył z zachodu, Ściął nadzieję rodziców (...)*⁵.

Stefanek Lipski – niemowlak – porównuje się tu do kwiatu jabłoni, który nie zdążył się zawiązać w owoc, jest jedynie jabłkiem w zalążku, choć mógłby być jabłkiem w przyszłości – owocem drzewa rodu. Poeta Wacław Potocki, w utworze „Dzieciociu w pieluchach” (przed 1686) przywołuje jabłko jako jeden z elementów tworzących strukturę obrazową Raju, która nie została objawiona dziecku w nauce wiary, bowiem Śmierć zabrała niemowlaka prosto do grobu. Umarłe dziecko mówi tu z bólem:

*Nie wiem, co raj, co Adam, co drzewa, co jabłka,
więcej-em łez wycodził niż ta mleka kapka,
którą-m ssiał (...)*⁶.

Motyw jabłka wykorzystał również Samuel Twardowski w jednym z porażających trenów, które napisał po śmierci córeczki Marianny (zmarłej przed 1634 rokiem):

*Tedy, moja kochanko, która w dalszym lecie,
Ozdób moich dziedziczką miałaś być na świecie,
Odeszłaś mi! Nieszczęsny ze mnie ociec, który
Ledwie com się ucieszył z wdzięcznej swojej córki,
Aż jej płacze, a tylko zostało mi imię.*

Tak o wonnej Eurocie, gdy myśląc się zdrzymię.

Złote jabłka mi się śnią, a ja bez pamięci

Chwytam, chwytam, cóż po tym, zostanę przy chęci!

Już tylko i o tobie śnić mi się coś będzie,

A gdzie stąpię, przede mną wdzięczny cień twój wszędzie⁷. (Mariannie Twardowskiej, wdzięcznej dziecinie, jedynaczce swojej, ojciec napisał, Tren I)

Złote jabłka stały się tu symbolem rajskiej szczęśliwości, nieosiągalnej wobec śmierci dziecka. Śmierć dziecka jest dla rodziców otchłanią, pozbawiającą ich światła, które kreowało marzenia o ziemskim Raju, przeobrażającym się już tylko albo aż w Raj Niebiański – przestrzeń dla rodziców niedostępną, nieuchwytną jak nieuchwytnie jest złote jabłko. Wyobrażenie o nim zdaje się doświadczeniem równie niemożliwym...

Piękna i mroczna zarazem symbolika złotych jabłek/rajskich jabłek, przynależna sferze dziecięcego umierania, dotyczyła jednak tylko i wyłącznie metaforycznej przestrzeni obejmującej dzieci ochrzczone.



Fot. z archiwum Autorki

Chrzest stanowił akt przyjęcia dziecka do wspólnoty chrześcijan, był „narodzinami obrzędowymi”⁸. Śmierć nieochrzczonego dziecka zrównywano ze śmiercią dziecka nienarodzonego⁹, tym samym jego dusza nie mogła wejść do Raju, bowiem do niego nie należała. Dusze takie miały trafiać do otchłani, gdzie były pozbawione światła i nadziei na zbawienie. Co więcej wierzone, że dusze dzieci nieochrzczonych mogły przemieniać się w wampiry, stąd zwyczaj wkładania im w usta różnych przedmiotów lub obdarowywania w pochówku ziarnami maku, gorczycy polnej, kapusty czy dyni¹⁰ – w nadziei, by dzieci te zajęły się pilnie policzeniem owych drobnych, licznych ziaren, co wydawało się wszak niemożliwe...

Zatem jabłko przeciwko gorczycy, śmierć radosna i śmierć w pohańbieniu, jednak każda z owych śmierci, ujęta w Boski Plan miała głębsze znaczenie, jak pisał Pierre Chaunu: *Bóg zesłał nam śmierć dziecka po to, abyśmy dowiedzieli się, czym jest śmierć*¹¹. ■

¹ A. Paluch, *Świat roślin w tradycyjnych praktykach leczniczych wsi polskiej*, Wrocław 1988, s. 87; W. Dragan, *Gospodarka leśna – zbieractwo, łowiectwo, pszczelarstwo i rybołówstwo*, w: *Źródła kultury ludowej Puszczy Sandomierskiej*, red. K. Ruszel, Muzeum Kultury Ludowej w Kolbuszowej, Kolbuszowa 2014, s. 139.

² H. Biegeleisen, *Śmierć w obrzędach i zwyczajach ludu polskiego*, Sandomierz 2017, s. 194-195.

³ M. P. Toeppen, *Wierzenia mazurskie*, przekł. E. Pilzówna, oprac. Językowe T. Ostojki, wstęp A. Szyfer, W. Ogrodziński, oprac. P. Błażewicz, J. Łapo, Dąbrówno 2008, s. 127.

⁴ A. Fischer, *Zwyczaje pogrzebowe ludu polskiego*, Lwów 1921, s. 173.

⁵ J. Kolbuszewski, *Co mnie dzisiaj, jutro Tobie. Polskie wiersze nagrobne*, Wrocław 1996, s. 110.

⁶ *Antologia polskiej poezji metafizycznej epoki baroku*, oprac. K. Mrowcewicz, Warszawa 2010, s. 169-170.

⁷ http://www.staropolska.pl/barok/S_Twardowski/treny.html, [dostęp 09.06. 2024]

⁸ D. Klosse, *Sakramenty i sakramentalia jako źródło mocy*, „Konteksty. Polska Sztuka Ludowa” 1998, Nr 1, s. 60.

⁹ *Ibidem*

¹⁰ O apotropaicznej funkcji ziaren w pochówkach anti-wampirycznych: T. Kurasieński, K. Skóra, V. Gayduchik, *A grain against a vampire? Some remarks on so-called anti-vampire practices in the light of archeological and folkloristic-ethnographic data*, „Sprawozdania Archeologiczne” 2018, T. 70, s. 173-202.

¹¹ P. Chaunu, *Śmierć dziecka*, w: Ch. Chabanis, *Śmierć, kres czy początek?*, przekł. A. D. Tuaszyńska, Warszawa 1987, s. 205.

EWA ZDROJKOWSKA

Zachować w pamięci

W pobliżu jeziora Mosąg i rzeki Łyny, jedenaście kilometrów na północ od Olsztyna, leży Brąswałd. W tej starej warmińskiej wsi, położonej między Dywitami, Barkwedą i Kajnamy, urodziła się MARIA ZIENTARA-MALEWSKA (1894–1984) – nauczycielka, poetka, pisarka, działaczka warmińska i zbieraczka miejscowego folkloru.

Przy drodze z Brąswałdu do Kajn stoi stary krzyż drewniany z figurką świętego Walentego w małej wnęce.

No, o tym krzyżu to ludziska rozmaicie gadali. Niejednego wystraszył tam czorny pies, co miał łoczy jak lampy, a z paszczy buchał mu snop ognia. Jeżeli człowiek ziedział, co zrobić, to znaczy nakreślić znak krzyża świętego, to i dobrze. A jeżeli nie ziedział, to co? To go ten pies gonit aż do wsi, a wył tak łokropnie, że na człozieku skóra cierpła, a serce tłukło ze strachu, jak szalone. Pies ten zginał dopsiero wtedy, kiedy postazono krzyż i jegomość go poświęcił.

Ale jegomością też raz wystraszyło. A to było tak: szed ci raz jegomości z lasu swojego, a było tak już u ściemionku i to było już w jesieni, kiedy jest tak gejsta mgła. Patrzy, a tu przy drodze jakieś tam dziewczynki w białych kledzikach tańczują z czarnymi chłopakami. Patrzy, przeżegnał się, nie ginie. Idzie bliżej, aż tu przyszedł, patrzy dokładniej, a to kadyki czarne już były, bo to już było ciemno, a mgła była tako gejsto, to tak przechodziła pomiędzy tymi kadykami. Był zietr, falowało to wszystko i to z dała wyglądało, jakby tam białe dziewczynki tańczyły z czarnymi chłopakami.

Ale jegomości od tego czasu to podobno tam nierad szedł to drogo.

(M. Zientara-Malewska, nagranie archiwalne)

W rodzinnej wsi poetki stoi budynek dawnej szkoły niemieckiej, w której uczyła się w latach 1901–1908. Szkoły polskie nie istniały wówczas na Warmii. Dopiero po wieloletnich zabiegach działaczy polskich, u schyłku 1928 roku, sejm pruski uchwalił „Ordynację dotyczącą uregulowania szkolnictwa dla mniejszości polskiej”, zezwalającą na zakładanie i prowadzenie prywatnych szkół z polskim jako językiem wykładowym. Na jej mocy w latach 1929–1939 powstało szesnaście szkół – piętnaście na Warmii i jedna na Mazurach.

Na tablicy umieszczonej na ścianie byłej szkoły w Brąswałdzie widnieje napis: „W tym budynku mieści się Izba Pamięci Marii Zientary-Malewskiej”. Wzrok wchodzących do Izby przyciąga stary kaflowy piec. – Mieszkając w Brąswałdzie, Maria Zientara-Malewska musiała mieć podobny w swoim domu – przypuszcza Kazimierz Kisielew, historyk, przewodnik turystyczny i autor prezentowanej w Izbie wystawy.

Na biurku z epoki leży kserokopia życiorysu pisanego ręką poetki – uwagę zwracają drobne, starannie wypisane literki. Oryginał znajduje się w Archiwum Archidiecezji Warmińskiej w Olsztynie.

Dane biograficzne:

Maria Malewska, z domu Zientarówna, ur. 4 IX 1894 roku w Brąswałdzie, pow. Olsztyński.

Ojciec August Zientara pochodził z Likus.

Dziadek Michał Zientara miał tam gospodarstwo rolne.

Babka Elżbieta z domu Rafalska.

Matka Franciszka z domu Kraska. Dziadek Józef Kraska rolnik. Babka Elżbieta z domu Malewska.

Wykształcenie:

Szkoła podstawowa niemiecka w Brąswałdzie.

Państwowe Seminarium Nauczycielskie w Krakowie.

Miejsca pracy:

Od 1921–23 w redakcji Gazety Olsztyńskiej

1923–24 w sekretariacie Tow.[Towarzystw] Kobiących na Warmii

Lata 1924–25–26 Kraków (studia)

Od 1926–29 sekretarka w P.[Polsko]K.[Katolickim] Towarzystwie Szkolnym w Olsztynie

1929–31 nauczycielka w Wielkim Buczku. Ziemia Złotowska

1931–39 w Berlinie jako wizytatorka przedszkoli polskich w N.[Niemczech] i kier.[kierownicza] wydziału IV

1933–35 nauczycielka w Złotowie

1935–1939 nauczycielka w Nowym Kramsku

1939–1940 Ravensbrück
do roku 1946 u ojca w domu
1945–50 w Kuratorium Szkolnym i od 1950 na emeryturze.

Te suche informacje dopełniono cytatami z utworów poetki, kopiami dokumentów i zdjęć umieszczonych na ściennych planszach.

Ważną postacią w życiu Zientarówny był brąswaldzki proboszcz, ks. Walenty Barczewski. Uczył on małą Marychnę literackiej polszczyzny i zachęcał do pisania wierszy. Jego zdjęcie widnieje obok wiersza Pory roku, którym poetka debiutowała w 1920 roku na łamach „Gazety Olsztyńskiej”. Uwagę zwraca fotografia Zientarówny w towarzystwie nauczycieli i dziewcząt szkoły polskiej w Nowym Kramsku. Tam 11 września 1939 roku została aresztowana i osadzona w więzieniu w Cottbus, a później w obozie koncentracyjnym w Ravensbrück.

Na wystawie prezentowana jest kopia dokumentu zwolnienia z obozu w dniu 18 kwietnia 1940 roku. Marię Zientarę, jak głosi zamieszczona równolegle informacja, zwolniono „na prośby znajomych i ojca, który argumentował, że jest ona niezbędna do pracy w gospodarce”. W Brąswaldzie przebywała pod nadzorem policyjnym do końca wojny. Przeżycia obozowe utrwaliła Zientara-Malewska w autobiograficznej książce *Śladami twardej drogi*, a także w przejmującym wierszu Ręce. Pisała w nim m.in.:

Widziałam ręce, z których krew
Tryskała w pracy ponad siły,
Pokrył je batów siny zlew,
Rany się jeszcze nie zgoiły.
A gdy je bito, katowano,
Ciągłe wołały: mamó! mamó! (...)

Czas powojenny w życiu poetki także zobrazowany jest zdjęciami. Po zwolnieniu z pracy w Kuratorium Okręgu Szkolnego w Olsztynie Maria Zientara-Malewska podjęła współpracę z olsztyńską Delegaturą Państwowego Instytutu Sztuki, który zajmował się zbieraniem rodzimego folkloru. Pracowała też w „Słowie

na Warmii i Mazurach”, regionalnym dodatku do ogólnopolskiego dziennika „Słowo Powszechne”. Na wystawie jest fotografia ukazująca zespół redakcyjny „Słowa”: Marię Zientarę-Malewską, Teofila Ruczyńskiego, Alojzego Śliwę, Michał Lengowskiego i Władysława Gębika. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych wymienieni autorzy pisali artykuły o współczesności, ale i przeszłości regionu, czerpiąc z ludowych opowiadań i legend. — To w „Słowie” Maria Zientara-Malewska publikowała po raz pierwszy zebrane przez siebie baśnie i legendy — przypomina autor wystawy.

Przez wiele lat autorka Baśni znad Łyny mieszkała w Olsztynie. Na fasadzie kamienicy, stojącej przy ulicy noszącej obecnie jej imię, umieszczono we wrześniu 2010 roku tablicę pamiątkową, która zawiera informację, iż poetka mieszkała tam trzydzieści trzy lata oraz fragment jej utworu:

O Warmio moja! O ziemio kochana,
Pracą i łzami i krwią poświęcona,
Ojców i matek trudem przeorana,
Ziemio rodzinna, bądź błogosławiona.

W 1981 roku Zientara-Malewska przeprowadziła się do domu przy ulicy Wodnej, gdzie spędziła ostatnie lata życia.

Maria Surynowicz, bratanica, czuła opiekunka i niestrudzona popularyzatorka poezji swojej krewnej, opowiadała reporterce: — Ciocia miała cały harmonogram dnia. Rano lubiła pospać dłużej, potem wstawiała, jadła śniadanie. Oczywiście koniecznie musiała być prawdziwa kawa. Kiedy była już wiekowa, miała koło dziewięćdziesiątki i ciśnienie było wysokie, bo prawie 200, to myśmy zgłaszali veto — nie ma kawy. Po dwóch dniach uderzała ręką w stół i mówiła: „Dzisiaj dacie mi kawy”. Więc tak: wypijała kawę i wracała do łóżka. Oparta o poduszki czytała gazety, których kupowała bardzo dużo i rozwiązywała krzyżówki. Potem przerwa, obiad i najprzyjemniejsza część dnia — przychodzili goście. Po południu wychodziła albo kogoś przyjmowała. Gdy przychodził wieczór, po dzienniku, po filmie, ciocia siadała i pisała. Pisała do trzeciej nad ranem i dlatego musiała

dłużej pospać. Światelko sączyło się z jej pokoju, a ja widziałam przez dziurkę od klucza, że ciocia siedzi przy biurku i pisze. Rano, kiedy wiersz był gotowy, wołała mnie, czytała i zawsze pytała: „No, jak ci się podoba, wszystko w porządku, może coś zmienić?”. Nie sugerowałam, żeby coś zmieniać, przecież wiedziała sama, jak jest najlepiej.

Na ścianach domu przy ulicy Wodnej oprócz portretów poetki, pędzla Hieronima Skurpskiego, Maria Surynowicz powiesiła też błogosławieństwo Ojca Świętego Pawła VI oraz dyplom i krzyż „Pro Ecclesia et Pontifice” („Dla Kościoła i Papieża”) — odznaczenie nadane przez Jana Pawła II. Aktu dekoracji dokonał w kościele św. Józefa w Olsztynie ówczesny ordynariusz diecezji warmińskiej, ks. bp Józef Glemp dnia 11 maja 1980 roku.

Maria Zientara-Malewska została uhonorowana takim odznaczeniem jako pierwsza kobieta na Warmii i, jak wspominała bratanica, bardzo się z tego powodu cieszyła. I tu należy przywołać jeszcze jedno zdanie z rozmowy przeprowadzonej przed laty, związane z wiszącym w pokoju poetki obrazem Andrzeja Samulowskiego. Uwidoczniony jest na nim dom rodzinny Marychny Zientarówny. Nad całością góruje kościół, przy budowie którego pracował jej ojciec, August Zientara. — Jak dochodziłam z ciocią do zakrętu — opowiadała Surynowicz, zaznaczając, że kiedyś chodziło się piechotą z Olsztyna do Brąswałdu — to z zakrętu widoczna już była wieża kościoła i ciocia zawsze mówiła: Mój kochany Brąswałd.

*

Jeden z pierwszych domów, stojących po lewej stronie drogi, przy wjeździe z Olsztyna do Brąswałdu, należał do Zientarów. Dziś próżno szukać takiego domu i obejścia, jakie znamy ze starych fotografii. Był drewniany, a obecnie jest murowany, słomianą

strzechę zastąpiła dachówka, ale — zapewnia Kazimierz Kisielew — to jest to samo miejsce, które widzimy na zdjęciu na wystawie, gdzie przed drewnianą chatą, wśród najbliższych, stoi mała Maria.

Na ścianie domu, dziś należącego do dalszej rodziny poetki, wisi tablica upamiętniająca Marię Zientarę-Malewską. Z kolei przed domem stoi jej popiersie autorstwa olsztyńskiego artysty rzeźbiarza, Jana Wiesława Karczmarka. Jesienią młodzi uczestnicy konkursu recytatorskiego jej imienia, który odbywa się w Brąswałdzie od 1989 roku, składają kwiaty przed pomnikiem.

I chociaż podczas konkursu uczniowie recytują także utwory innych warmińskich autorów, to jednak nadrzędna dla ducha spotkań pozostaje postać Marii Zientary-Malewskiej. Spełnia się zatem życzenie poetki, utrwalone na archiwalnym nagraniu: *Marzyłam o jednym: żeby te wiersze poszły do dzieci, do szkół. Żeby one tak krzepiły innych, jak mnie krzepiła Maria Konopnicka przez swoje wiersze, na których się wzorowałam początkowo... Że będę tak zwaną poetką nigdy nie myślałam. Żeby być znaną dzisiaj w całej Polsce — nigdy nie marzyłam o tym. Nigdy. Bo to było marzenie zupełnie nierealne w naszych warunkach. Podczas plebiscytu chodziłam tu na kurs, do Olsztyna, który miał przygotować młodzież warmińską do objęcia ewentualnie szkół polskich, gdyby Warmia przypadła Polsce, i tam właśnie spotkałam się z wierszami Kasprowicza i tak myślałam: „Boże, jak on pięknie pisze. Ja przecież nigdy tak nie napiszę”. Potem ksiądz Walenty Barczewski — kiedy już pisałam wiersze, on je poprawiał, był pierwszym krytykiem — dał mi wiersze poetów polskich, to tak czytałam i myślałam: gdzie ja tak kiedyś napiszę. Nigdy. Myślałam: No, ja tylko piszę dla naszego ludu warmińskiego. Oni przeczytają, oni mnie zrozumieją. ■*



Fot. Ewa Kurowska

Owoc to pokarm, słodycz, vitalność, zdrowie. W kontekście biblijnym zakazany owoc to symbol grzechu, pokusy, pożądania, ciekawości. Mówimy też o owocach czyjejś pracy, miłości, życia. Idąc tym tropem, w gąszczu znaków i znaczeń, Ewa Kurowska – fotografka z Olsztyna, członkini Związku Plastyków Warmii i Mazur, zebrała kilkanaście kobiet i uwieczniła je na swoich owocowych fotografiach. Każda z modelek miała odpowiedzieć sobie na pytanie: „Jakim jestem owocem, jakim chciałabym być?”. Orzeźwiającym cytrusem, sycącym bananem, który pobudza też zmysł wzroku ze względu na swój falliczny kształt, czy może gorącą, ostrą papryką, rozpalającą ciało od czubka języka po końcówki palców, zatapiając się w palącym pocałunku? Ja wybrałam jabłko.

Ewę Kurowską poznałam w 2019 roku. W fotografii najbardziej interesuje ją człowiek, lubi odkrywać osobowość modela, a naciskając raz po raz spust migawki otwiera kolejne drzwi do jego wewnętrznego świata. Uwielbia „ciasne kadry” i zabawę światłocieniem. Dlatego większość jej zdjęć jest czarno-biała: z jednej strony można ukryć coś w cieniu, a z drugiej obnażyć w świetle. – Czy można doskonalej kreować rzeczywistość niż stojąc po drugiej stronie aparatu? Zatrzymuję oddech, gdy wciskam spust migawki. Nadaję tej chwili nowy kształt. Nowy gest,

KAROLINA ROGÓZ-NAMIOTKO

Po owocach ją poznać

nową melodię, która rozbrzmiewa w moich fotografiach jak srebrzyste fale niesione wiatrem, malowane światłem – mówi artystka.

Długo lubowała się w czarno-białej fotografii, dopiero miesiące spędzone w zamknięciu i izolacji podczas pandemii sprawiły, że zapragnęła koloru. Gdy zniknęły obostrzenia, zaprosiła kilkanaście kobiet do udziału w sesji. Odpowiedziały wszystkie. Były owoce egzotyczne i te absurdalnie zwyczajne. Gdy zadała mi pytanie, jakim chcę być owocem, w mojej głowie pojawiło się jabłko. Rumiane i soczyste. To owoc, który towarzyszył mi od najmłodszych lat. Jabłko pojawiało się w moim szkolnym plecaku obok kanapki na drugie śniadanie. Na jabłko chodziliśmy do sadu, który rósł obok naszego osiedla. Jabłoni utrzymywała nasz ciężar, gdy wspinaliśmy się po jej gałęziach, sięgając te najbardziej dorodne okazy z czubka drzewa. To dom, to dzieciństwo, to dobre wspomnienia i dobre skojarzenia. Takie przaśne, zwyczajne, nieegzotyczne, mówiące mi, że jestem stąd, z tego sadu.

Podczas pierwszego wernisażu Ewy Kurowskiej w Galerii na Strychu soczyste kolory rozlały się na korytarz, witając gości. Kilkanaście modelek, każda w innym owocowym wydaniu. Tłumy, które tego dnia odwiedziły galerię, nie odpuszczały przez 3 godziny. Gdy otwieraliśmy wystawę, wojna w Ukrainie trwała już od 3 tygodni. Mimo lęku i obaw ludzie potrzebowali spotkać się ze sztuką, odnaleźć nadzieję w tych fotografiach, które wielu osobom dały ukojenie w czasie izolacji. Potrzeba tworzenia i obcowania z fotografią artystyczną, malarstwem, rzeźbą staje się tym silniejsza, im bardziej jesteśmy osamotnieni. Owoce pracy Ewy Kurowskiej mogliśmy podziwiać w wielu galeriach regionu, m.in. w Suskim Ośrodku Kultury, w Galerii Sowa. Za swoją działalność otrzymała nagrodę Talent Roku 2022.

Połączenie kobiecości z owocami przywołuje myśli o nowej nadziei, nowym otwarciu, nowych owocach pracy, życia czy miłości. W popandemicznej rzeczywistości owoc to zapowiedź szczęścia, urodzaju, zdrowia, długowieczności, obfitości. Owoc oddziałuje na wszystkie zmysły: smaku, zapachu, dotyku, węchu, a w połączeniu z kobiecymi portretami – raduje oczy. ■

ANITA ROMULEWICZ

Owocowe dziedzictwo

Aleje przydrożne na Warmii i Mazurach są wyjątkowe z kilku powodów. Dla wielu obecnych mieszkańców regionu, świadomych swojej tożsamości, stanowią one jeden z nadal zachowanych w dużej skali skarbów. Współcześnie to właśnie ta unikalność jest podstawą do ochrony wielowiekowych drzew rosnących w charakterystycznych, pięknych szpalerach. Wielokrotnie o potrzebach zachowania historycznych nasadzeń na Mazurach pisał Krzysztof Worobiec ze Stowarzyszenia Sadyba¹. Szczególną uwagę zwraca się przy tym, i słusznie, na drzewa szlachetne, jak dęby, które rosną wolno. Z wiadomych względów gatunkom drzew żyjącym krócej poświęca się mniej uwagi, tymczasem przydrożne aleje owocowe i sady stały się równie charakterystycznym elementem dziedzictwa krajobrazowego naszego regionu, co lipy czy kasztanowce. Wrosta już bowiem w opowieści, legendy i smaki kuchni regionalnej, jak choćby szpalery śliwki mirabelki znanej dobrze z kwaśnego smaku zamykanego na zimę w słoikach. Gdźieniedzie jeszcze opuszczone poniemieckie sady niezawodnie rodzą smaczne wiśnie, czereśnie, śliwki czy jabłka.

Zdaniem Worobca, aleje przy drogach, tych głównych i polnych, to unikalny element krajobrazu, którego urodę doskonale oddają słowa mazurskiego pisarza Arno Surminkiego: „Nie znam w Europie innego krajobrazu, który tak zdominowany jest przez aleje jak Prusy Wschodnie. Zielone ocienione wstęgi lipowych alei przecinające żółte łany zbóż, czerwone dachy zagród wiejskich w tle, to typowy motyw – jak do namalowania”.² Warto podkreślić, że autor nie gloryfikuje alei wielkomiejskich, ale właśnie te swojskie, wiejskie. W I połowie XX wieku mogły one zachwycać go jako aleje dojrzałe, w pełni rozwinięte, bowiem masowe nasadzenia przydrożne zaczęły pojawiać się na Warmii i Mazurach już w XVIII wieku, wraz ze specjalnie prowadzoną polityką państwa pruskiego. Objęła ona swoim zasięgiem także drzewa owocowe.

Na podstawie edyktów Fryderyka Wielkiego, króla Prus (w tym Prus Wschodnich) z 1731 i 1797 roku, w całym państwie rozpoczęto sadzenie milionów drzew owocowych, wierzby i morwy. To te ostatnie miały umożliwić lokalną produkcję jedwabiu i zapewnić władcy niezależność od dostaw surowca z zagranicy. W XIX wieku systemowe sadzenie drzew stało się powszechne zarówno na wsiach, w miastach, jak i wzdłuż szlaków komunikacyjnych, przy jednoczesnej ochronie starych egzemplarzy.

To właśnie tak szeroko zakrojona gospodarka drzewna, jak i surowe rozporządzenia chroniące drzewa sprawiły, że do dziś drogi, kanały i polne miedze regionów dawnego państwa niemieckiego zdobią wyjątkowe aleje.

Równolegle do prowadzonej w Prusach polityki rozwijała się wiedza sadownicza i ogrodnicza, a z nią rolnicze innowacje przetwarzania i zagospodarowania owoców. W kontekście historii Polski zdumiewa zaawansowany poziom wiedzy i zaangażowania specjalistów i hodowców tych branż z Niemiec, zarówno zrzeszonych, jak i działających indywidualnie. Podobnie jak i oddziaływanie ogromnej liczby drzew owocowych, będących na wyciągnięcie ręki, na zachowania społeczne. W relacjach światłych i postępowych polskich sadowników z tamtego okresu nie można nie dostrzec fascynacji tym zjawiskiem i wpatrzania w doświadczenie zachodnio-europejskich kolegów, choć niektórzy, jak prof. Stefan Pawlik z Akademii Rolniczej w Dublanach nie kryli się ze słowami krytyki: „Dziś jesteśmy zanedbani pod przewagą t.z. kultury niemieckiej, za wiele w ogóle jej zawieramy, bez odpowiedniej dozy krytycyzmu. Błądzimy ciężko, wobec nas samych, przyznając ogólnie dziełom niemieckich autorów «alfę i omegę» wyrazu postępu”.³

Najczęściej jednak otwarte na wiedzę umysły w Polsce ubolewały nad zbyt mało oświeconymi włościanami, zacofaniem w rodzimym sadownictwie i tym, że wiedza „rozchodzi się powoli”. W Galicji zauważalny postęp wiedzy rolniczej dokonywał się już pod koniec XVIII wieku, jednak pierwsze znaczące publikacje (przy czym trudno dziś ustalić oryginalność prac) i rozporządzenia dotyczące nasadzania drzew owocowych pojawiły się dopiero w XX wieku. Na Lubelszczyźnie postulowano obsadzanie w pierwszej kolejności ulic w miastach, nie jak w Prusach, wymieniając wśród proponowanych gatunków zarówno drzewa ozdobne, jak i owocowe⁴. W literaturze wskazywano m.in. na konieczność udoskonalenia prowadzenia sadów, w których kardynalnym błędem było utrzymywanie zbyt dużej liczby odmian drzew owocowych, ale i generalnie brak zainteresowania pozyskiwaniem owoców zarobkowo. Władysław Tyniecki, dyrektor Krajowej Szkoły Gospodarstwa Lasowego we Lwowie napisał wprost, że głównym powodem zaniedbania sadownictwa w Polsce nie jest niska jakość gruntów czy brak popytu, o nie! Powodem jest „nieogłędność i niechęć

do pracy, która nie daje zysków natychmiast”⁵. W 1916 r. Benedykt Wygoda, niezwykle dosadnie i malowniczo opisał wady polskich pseudosadowników: „Styszy się u nas czasem zdania, że tyle jest sadów w kraju, a tak mało owoców. Sadów tych nie ma; są to zbiorowiska nieszczęśliwych istot roślinnych, które w wolnych od leczenia ran chwilach rodzą czasem nieco ulęgatek. Sady dworskie to domorostych Maciejów twory, którzy znajomość sadownictwa wynieśli ze stajni lub chlewu. Jest tam tyle odmian, ile drzew, jedna gorsza od drugiej”⁶. Odpowiedzią na brak edukacji w tym zakresie miały być kursy dla drobnych właścicieli ziemi, podczas których uczono m.in. jak założyć i dbać o sadki w polu⁷.

Również kilka dekad wcześniej, w 1858 roku, Stanisław Buczyński, marząc o „owocowym raj” jaki widział podczas zagranicznych podróży, wspominał, że „w Ojczyźnie chłop jest leniuch i próżniak, woli ten czas w karczmie przesiedzieć, niżby miał się czemś podobnym zatrudniać”⁸. Miał tu na myśli „zaprowadzenie drzew owocowych”, których „Ojczyzna przecie tak wiele mieć może, bo to przecie wiele nie kosztuje”. Co więcej, odwiedzając rozmaite miasta i wsie podziwiał „koło drogi z jednej i drugiej strony drzewa obciążone prześlicznymi owocami, których jest dostatek”, gdy tymczasem w Polsce żebracy wyciągają ręce po choćby jabłko albo złodzieje kradną na potęgę to, co się urodzi. „Małe staranie i praca pilnych gospodarzy potrafiłyby temu wszystkiemu zaradzić. I czy to nie mogłoby w mojej Ojczyźnie tak być?”

Z podobnym uznaniem dla niemieckich sadowników, a w szczególności pomologów, wypowiada się profesor Augustyn Kozubowski, Dyrektor Towarzystwa Pszczelno-Jedwabniczo-Sadowniczego. Zachwala nie tylko ich wiedzę na temat poszczególnych gatunków drzew owocowych, wymagań co do uprawy, odporności na choroby i klimat, smaku owoców, ale przede wszystkim gospodarskie podejście, którego tak brakuje rodakom. „Gdzież u nas są drogi drzewami owocowymi obsadzone, lub czy kto widział na polu wśród zboża jabłonie rzędami rosnące? W innych krajach korzystają z każdego kawałeczka ziemi”⁹. To dzięki jego relacji i katalogowi odmian dziś wiemy, jakie jabłonie i grusze polecali specjaliści w Prusach: do sadu, ostonięte od wiatru jabłka „kalwiny” bardzo na stoły pożądane, w ogrodzie „kantówka”, przy

drogach natomiast „reneta szampańska”, „czerwony gołąbek”, na miedzach polnych „złote cacko” i „wielkie bobowe”. Z kolei na wino jabłkowe najlepsze Luikenapfel, czyli Jabłko Ludwiczki. Wśród gruszy zwraca uwagę na szlachetne odmiany najlepsze do ogrodów — Marię Ludwikę, Arcyksięcia Ferdynanda oraz Maślaczkę Napoleona, z kolei na nasadzenia przydrożne i polne poleca „krowią nóżkę” i „kocią głowę”¹⁰. Czy któraś z tych gruszy lub jabłoni nadal owocuje gdzieś na warmińskim polu albo w opuszczonej sadybie na Mazurach? Czy ktoś stara się ponownie szczepić te silne odmiany, które rodzą zdrowe owoce do dziś? Nie wiadomo. Natomiast to, co pewne, to fakt, że dzięki niemieckim propagatorom przydrożnych zadrzewień oraz wschodnio-pruskim sadownikom „niezrażonym do ciężkiej pracy”, dzisiaj na Warmii i Mazurach praktyka ta jest żywa i możemy podziwiać szpalery drzew owocowych — wyjątkowe świadectwa historii obu krain. Obecnie wielu rolników w regionie regularnie wycina wiekowe rzędy „niepotrzebnych” tarnin, ku rozpaczy zdezorientowanych zajęcy i ptaków. Jednocześnie w ramach współcześnie zrównoważonej polityki drzewnej dosadza się dziesiątki jarzębin, głógów i... pigwy, dzięki czemu pojawiają się nowe smaki. Niezależnie od odmian drzew i krzewów owocowych winniśmy tę historyczną ideę krajobrazu szanować, jako dowód porządnej pracy i mądrości ludzi. ■

¹ K. Worobiec, *Wyjątkowy element krajobrazu: aleje przydrożne*, <https://sadybamazury.wordpress.com>

² A. Surmiński, H. Wezer, *Ostpreußen*, Berlin, 2004.

³ S. Pawlik, *Uwagi o wpływie literatury niemieckiej w XIX wieku na gospodarstwo w Polsce*, „Tygodnik Rolniczy” 1903, nr 48, s. 465-466.

⁴ W. Olędzki, *W sprawie obsadzania dróg*, „Ogrodnik Polski”, nr 19, t. XXIII, 1901, s. 456-461.

⁵ W. Tyniecki, *Sadownictwo gospodarskie*, Lwów, 1902, s. 2.

⁶ B. Wygoda, *Uprawa roli. Studium społeczno-gospodarcze*, Lwów, 1916, s. 46.

⁷ E. Jankowski, *Sadownictwo. Lekcja 16*, „Kursy Rolnicze im. St. Staszica”, 1930, s. 1.

⁸ S. Buczyński, *Kilka słów do pilnych gospodarzy o pielęgnowaniu i rozmnażaniu drzew owocowych*, Bochnia, 1858, s. 6, 8.

⁹ A. Kozubowski, *Sadownictwo*, Kraków, 1868, s. 19.

¹⁰ Tamże, s. 1-18

JOANNA NAWOTKA

Dżem z Elektronów

Dżem z Elektronów poznałam chwilę po poluzowaniu obostrzeń pandemicznych. Kolektyw znów mógł spotykać się w jednym z olsztyńskich pubów, a ja bardzo chciałam spędzać czas poza własnymi czterema ścianami. Ni z gruszki, ni z pietruszki zobaczyłam w mediach społecznościowych informację o elektronicznych spotkaniach i wpadł mi do głowy pomysł, by wziąć w nich udział. Tak też zrobiłam. Zostałam miło i koleżeńsko przyjęta. Polubiłam delectowanie się muzycznymi improwizacjami, podczas których wykorzystywane są elektroniczne instrumenty, takie jak syntezatory czy samplery. Klimat ten sprawia, że relaksuję się, odpoczywam, myślę o niebieskich migdałach. Wielokrotnie miałam przyjemność poznać na dżemowych spotkaniach ciekawe osoby z różnych olsztyńskich środowisk. Towarzystwo zawsze okazuje się sympatyczne i dalekie jest od wpuszczenia kogoś

w maliny. Niezależnie od tematów, praktycznie zawsze klei się gadka. Pogaduchy sprawiają, że może zrobić się sucho w gardle. Na szczęście istnieje możliwość konsumpcji chmielowego trunku, do którego dodać można syrop o smaku malinowym, imbirowym, wiśniowym.

Wśród stałych bywalców prawie zawsze można spotkać założyciela i pomysłodawcę tej elektronicznej inicjatywy, Pawła Dąbera Dąbrowskiego. Zapytany o genezę dżemowych spotkań, odpowiedział: — Kiedyś po prostu chodziłem na imprezy elektroniczne. Patrzyłem na ludzi za konsolami i zastanawiałem się, jak oni to robią. Koleś coś naciska, czegoś dotyka, czymś kręci, a tu muzyka pojawia się, znika, zmienia. Bardzo mnie to zaciekało, więc zacząłem podpytywać.

Fot. Jarosław Poliwko



Wtedy nawet nie wiedziałem, jaka jest różnica pomiędzy livem a DJ-owaniem. Kolega Jacek powiedział mi, że ma taką maszynkę do robienia muzyki i może mnie nauczyć co i jak, jeśli mnie to interesuje. Zaprosił mnie do siebie i pokazał „niebieskiego” – to był syntezator Korg Electribe. Dał mi krótką lekcję jak to działa. Pożyczyłem od niego ten sprzęt i zacząłem sam kombinować w domu. Jak zobaczyłem, że na tym można zrobić swój kawałek, to szybko się w to wkręciłem. Niedługo potem kupiłem sobie własny syntezator, tylko inny model. Któregoś dnia zobaczyłem na Facebooku, że Tomek z TAS-ów korzysta z tego samego urządzenia i pomyślałem, że może się czegoś od niego nauczę. Wpadłem do nich na próbę i pokazał mi, co i jak. Potem stwierdziliśmy, że spotkamy się jeszcze raz, żeby to jakoś rozwinąć – połączyć urządzenia i stworzyć coś konkretniejszego, a nie tak



Fot. Jarosław Poliwko

na sucho. Spotkaliśmy się w pubie LAS. Barmanem był wtedy Dawid. Spojrzał na nas z zaciekawieniem i powiedział, że też robi takie rzeczy, że może się podłączyć i pogramy razem. Potem jeszcze pojawił się Filip, jakiś czas później Janusz, Beny, Lutra... Pierwsze spotkania były spontaniczne, bez jakiegokolwiek organizowania. Jednak później uznaliśmy, że tak dobrze się bawimy i idea takiego grania jest na tyle fajna, że warto byłoby to trochę rozszerzyć, zaangażować nowe osoby, dotrzeć do ludzi. Jednego dnia akurat miałem trochę czasu, więc utworzyłem grupę na Facebooku i tak zostałem mianowany ojcem, założycielem Dżemu z Elektronów. Nazwa oczywiście nawiązuje do jam session, czyli sesji muzyków grających ze sobą na żywo, spontanicznie i bez przygotowania.

Chłopaki od kilku lat organizują coroczną imprezę, będącą wisienką na torcie spotkań kolektywu. Do samego rana można bawić się na występach z muzyką elektroniczną na żywo, nierzadko z ogromną ilością improwizacji. Podczas tegorocznej, jubileuszowej edycji „Uncertainty Principle Vol. 5” wybrzmiało TECHNO, IDM, ELECTRO, ACID, HOUSE, TRANCE oraz BREAKBEAT. Doznania muzyczne okraszone były soczystymi barwami, które wyływały się z lamp i odbijały się od lustrzanych kul dyskotekowych.

Wtorkowe muzyczne spotkania są idealną okazją do oderwania się od tygodniowej rutyny i codziennych obowiązków. Każdy jest mile widziany – niezależnie od tego, czy jest spokojny, czy zakręcony jak słoik dżemu. Dżemu z Elektronów. ■



*** (w kwiatkach czeremchy...)

odurzony
zapachemmm m m m m

mój SZALONY
mój SZALONY **gniew**
osunął się na kolana

